Nr. 20 (1168). Warszawa, dnia 3 (16) Maja 1903 r. Rok XXIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

„An den Ostmarken.“

Dnia 16 czerwca odbędą się w całem cesarstwie niemieckiem wybory do sejmu. Nie zmienią one doniośle tak pod ilościowym, jak pod jakościowym względem stanu posiadania wśród Niemców samych; co które stronnictwo niemieckie lub niemiecko-pruskie miało, to i zatrzyma na następne pięciolecie. Co najwyżej można przewidywać przyrost socyalistów, osłabienie stronnictwa bawarsko-pruskiego, nazywającego się urzędownie liberalnem, i wzmożenie się t. zw. partykularyzmu alzackiego: Pierwsze przewidywanie ma za sobą ciągły rozwój i postęp idei i żądz demokratyczno-socyalistycznych w całych Niemczech; drugie — niechęć obudzoną w Bawarach przez słynny telegram cesarza Wilhelma a zaostrzoną przez interpelacyę w sejmie cesarstwa i opór rady związkowej przeciwko paragrafowi o Jezuitach; trzecie wreszcze — żądanie wydziału alzackiego, aby już raz nareszcie zorganizowano Alzacyę autonomicznie. Po za tem mogą być tylko drobne zmiany osobiste lub nawet przewodnio-polityczne, niezdolne jednak wpłynąć na dynamikę sił sejmowych. Sam rząd dotychczas jeszcze nie wydał hasła, a stronnictwa występują każde ze znanem już swojem obliczem, z poczuciem siły i spokojem właściwym sile pewnej zwycięztwa. Tam tylko, gdzie jakaś nowa zasada, jakieś mniemanie kierujące dojrzało do zmierzenia się z przeciwnem, będzie walka; tam zaś, gdzie się nic w umysłach nie zmieniło, będzie tylko mniej lub więcej ożywione spełnienie funkcyi państwowej.

Inny charakter ma ruch wyborczy i inną też doniosłość będą miały wybory po za granicami Niemiec, w tak zwanych Ostmarken, w ziemiach zabranych przez Fryderyka II i jego synowca, o którym cny stryj całkiem niepotrzebnie rozpaczał. Na tych zachodnich dla nas kresach mało jest okręgów wyborczych, w którychby dość było postawić kandydaturę, aby ją przeprowadzić, mało też takich, w którychby osoba kandydata była obojętną, a przynajmniej małoważną. Nie stronnictwo, nie jego zasada, zabarwienie, dążność, ale narodowość przedewszystkiem do walki w dniu 16 czerwca jest powołaną i ma obowiązek stoczyć ją do upadłego, a dopiero w zakresie danej narodowości występuje kwestya tego lub innego stronnictwa, tej lub innej osobistości, najlepiej uprawnionej do sięgnięcia po mandat. Na Śląsku wszakże obie te kategorye pojęć w ścisłej z sobą zostają łączności. Ani w Poznańskiem, ani w Prusach Zachodnich niepodobna bez ośmieszenia się mówić o stronnictwie „niemieckiem“ lub stronnictwie „polskiem“; tu i tam są tylko uświadomieni Niemcy i uświadomieni Polacy — w ustawicznej z sobą walce, w której wybory sejmowe stanowią tylko jeden epizod, prawda, że politycznie od innych ważniejszy. Na Śląsku dzieje się inaczej. Tam wskutek niezupełnego jeszcze uświadomienia się ludności polskiej, arkan niemiecki, pod postacią katolicyzmu zogniskowanego w Centrowcach, chwyta biedne dusze polskie i wlecze do niemieckiego raju, a dopomaga mu w tem nieuświadomiona jeszcze również t. zw. inteligencya, przedewszystkiem księża śląscy, gatunek wężowy. Tam, chcąc mieć Polaka wyborcą, trzeba go zawczasu urobić, a chcąc przeprowadzić Polaka posła, trzeba z pośród Polaków wybrać nie schwytanego na arkan niemiecki.

W Poznańskiem i Prusiech sprawa przedstawiennictwa polskiego w sejmie Rzeszy i skorzystania z praw politycznych jeszcze nieodjętych sprowadza się głównie do tego, czy kierunek dotychczas nadawany działalności posłów polskich w sejmie przez t. zw. Koło, pozwala posłom należycie z praw tych korzystać, czy stawia ich działalność na wysokości tej walki eksterminacyjnej, którą cesarz wraz z narodem pruskim i znaczną częścią niemieckiego wypowiedział Polakom i polskości—czy też nie? A jeżeli nie, to czy z winy osób, czy też z winy całego stronnictwa, całej warstwy, jakby kastowo w sobie zwartej, która dotychczas posłów z siebie wydała? Czy, chcąc wprowadzić nowy kierunek, nowy ton, nie potrzeba koniecznie zmienić już nietylko osoby, ale samo środowisko, które je z siebie wydziela, i brać ludzi nowych z nowych też pokładów społecznych. Na te pytania odpowiada cały ruch wyborczy w ludności polskiej już od marca. Istotnie, uczuto potrzebę ludzi nowych i warstw nowych, bo ze starych już duch nowy, upragniony, duch większej mocy i tęgości—nie wybłyśnie; stłumiło go używanie życia, karciarstwo, mania zameczkowo-pałacowa, wielkopańskość nawet w gospodarstwie, beztroska o jutro, wzajemna adoracya, ostatecznie pycha stanowa, ten wrzód społeczny, który byt polityczny ojczyzny toczył już wtedy, gdy była jeszcze wolną, i nawet gdy nie przestała być jeszcze w rzeczywistości wielką.

W Poznańskiem poruszyła się myśl krytyczna, racyonalizmem politycznym przejęta, jeśli nie radykalna, to w każdym razie od poprzedniej radykalniejsza. Ziemia pozostała główną podstawą istnienia; posłowie też ziemiańscy pozostaną i ilościo-

wo i jakościowo głównymi przedstawicielami w liczbie tych 13, która chyba uszczuplenia nie dozna, jeśli społeczeństwo poznańskie chce istotnie być i żyć. Ale wstyd jakiś ogarnia wszystkich na myśl o małej energii dotychczasowej, o słabości tonu i braku ciągłości w działaniu, o tej półśrodkowości, która wychodzić może tylko z dusz połowicznych, ułomnych, kalekich—nie dusz, ale jakichś sztucznie rozpalonych a słabo płonących ognisk rozumu i woli. P. Hektor Kwilecki swoją haniebną propozycyą poddania się pod centrum otrzeźwił niebacznych, upojonych sobą, grozy położenia niewidzących. W okręgach zachodnio-północnych grasuje już niemiectwo, tam walka, choćby dla policzenia się, jest obowiązkiem, a poprowadzić ją zdoła tylko dzielność duchowa, rozpalona przez kandydatury nietylko okazowe, symboliczne, ale wewnętrzną wartością swą silne, a siłą szlachetne. Zbyt wielu ludzi nowych spodziewać się nie można; niechżeby przynajmniej z pomiędzy dawnych zostali tylko najlepsi! W Prusiech Zachodnich postawiono 6 kandydatów, pomiędzy nimi nowego, p. Kulerskiego, redaktora *Gazety Grudziądzkiej*, w okręgu wątpliwym Grudziądz-Brodnica. Na Śląsku w 4 okręgach walka toczyć się będzie między kandydatami narodowymi a centrowymi, których niebacznie popiera p. Napieralski, redaktor *Katolika*. Pierwszy to raz odradzająca się dzielnica piastowska, którą miękka mądrość Kazimierza W. wydała na łup czesko-niemiecki, samymi wyborami zaświadczy o sobie: oto żyję i jestem. W okręgu Bytom-Tarnowiec staje Stęślicki przeciw księdzu Kapicy, w Gliwicach-Lublińcu — Siemianowski, redaktor *Głosu Śląskiego*, przeciw Ballestremowi, w Katowicach-Zabrzu — Korfanty przeciw dotychczasowemu Letosze, w Pszczynie-Rybniku — Kowalczyk przeciw Faltynowi. Zwycięztwo choćby w jednym okręgu będzie miało już historyczne znaczenie.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Bulgarzy w Macedonii próbowali dynamitu, dostarczonego im z Bulgaryi, w innych jeszcze miejscowościach, ale na mniejszą skalę. Zapasy dynamitowe poodkrywano w różnych punktach wilajetów monastyrskiego i salonickiego. Porta wyprawiła do Sofii notę obciążającą, której przyjąć nie chciano, a nadto rząd bulgarski dopomina się zupełnego jej cofnięcia. Książę Ferdynand wraca do kraju. Zaraz po 29 kwietnia zjawiła się w Salonice eskadra austryacka. Z tego powodu wzmogły się i pogłoski o interwencyi. Dotychczas zajmują się nią dzienniki. *Standard* pozwala sobie na telegram, jakoby p. Zinowjew miał sam poddać sułtanowi myśl wezwania Austro-Węgier na pomoc. *Au delà Mitrowitza* nie byłoby przeszkodą, gdyby się na nie zgodziła Rosya, ale to „gdyby" dla plotkarzy tylko jest drobnostką. Pewną zato wiadomość podaje telegraf, że prezes zgromadzenia bulgarskiego na parę tygodni wyjedzie do Petersburga. Między gabinetami toczą się układy, ale odgadywanie ich nie może nas zajmować. Francya trwa w postawie odosobnionej: Constans w Stambule wyraźnie winę zaburzeń zwala na Bulgarów i Bulgaryę i siły tureckie uważa za wystarczające do ich uśmierzenia.

Istotnie, dawno już nie byłoby zaburzeń, gdyby dyplomacya szczerze stłumienia ich pragnęła. Styczniowe i lutowe rozpędy wyglądają wobec późniejszego zachowania się jak proste demonstracye odwracające uwagę. Doskonałe porozumienie się Rosyi z Austryą jest niemożliwe, a niedoskonałe objawiać się może tylko tajoną wzajemną niechęcią. O takim zespole, w którymby spokojnie wykrojono sobie sfery wpływów i połcie terytoryów, żaden człowiek ze zdrowym rozsądkiem nie pomyśli; każdą taką robotę dyplomacyi zburzyłaby ludność miejscowa, nienawidząca Austryi jako cywilizowanej a obcej i katolickiej. Idąc w tym kierunku, Habsburgia leciałaby w przepaść.

Niewątpliwie pobyt króla Edwarda w Paryżu dał mu sposobność do wymiany poglądów, raczej szczerej niż chytrej, z Francyą. Zdaje się, że można już dziś w zbiegowisku macedońskiem, widzianem od strony Europy, wyróżnić zarysowującą się grupę Anglia-Francya-Włochy. Anglia to podsyciła w Prinettim i jego rodakach marzenie o Albanii; Francya nie jest mu wrogą.

Zapewnienia p. Gołuchowskiego, dane austryackiemu Export-Vereinowi, że wszystko będzie dobrze na Bałkanach, są czczemi słowami, bez rdzenia rzeczywistości.

W sprawie Mandżuryi (nr. 18) po doniesieniach o porozumieniu się p. Haya z p. Crispim i zupełnem zadowoleniu St. Zjednoczonych z układu stosunków handlowych na przyszłość telegraf przyniósł wiadomość o odpowiedziach ministrów i podministrów angielskich w obu Izbach. Widać z nich, że depeszy Reutera nie uważano za urzędową, ale też i nie miano za fałszywą; ostatecznie okazała się prawdziwą. W zmienionem bardzo poważnem położeniu Anglia, Stany Zjednoczone i Japonia rozpoczęły rokowania w Petersburgu. Dla ułatwienia ich z Pekinu donoszą, że wojska cesarsko-rosyjskie zajęły wprawdzie Niu-Czuang nad zatoką Lao-tong, ale go wkrótce opuściły, generał zaś komenderujący w Mukdenie wydał odezwę zapowiadającą opuszczenie tej prowincyi.

Namiestnikiem Galicyi zostaje Andrzej hr. Potocki.

Ces. Wilhelm współcześnie z pobytem króla Edwarda w Paryżu, zawitał do Rzymu; był i w Watykanie, nawet z pompą. Leon XIII jest zbyt rozumnym, aby odwiedziny mogły nie być dla niego aktem prostej etykiety.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

RACHUNKI SPOŁECZNE.

Z życia stowarzyszeń. — Głos w sprawie instytucyj drobnego kredytu. — Biura porad prawnych.—Obrazki hygieniczne z prowincyi.— Odczyty na prowincyi. — „Dziewicza skromność płoczczanek i emancypacya radomianek. — Jak się bawi prowincya. — Dziwactwa kaliszan.

Pisaliśmy swego czasu w tem samem miejscu o znacznem ożywieniu, jakie zapanowało w dziedzinie naszego życia zbiorowego na prowincyi. Obecnie, raz jeszcze wracając do tej nigdy niewyczerpanej kwestyi, zaznaczymy, iż ruch ten rozwija się dalej i po przejściu pierwszego zapału rozpoczyna się w nim okres krytycznych poglądów na stowarzyszenia wszelkiego rodzaju i ich działalność.

W prasie prowincyonalnej odzywają się głosy, wykazujące tę lub inną wadę jakiegoś stowarzyszenia, cały szereg niedokładności w ustawach, albo wreszcie pew-

---

6)

Wacław Sieroszewski.

POWRÓT,

POWIEŚĆ.

Gdy Karski podszedł z naczyniem do ognia, Spirydion odebrał mu je z ręki i powiesił na kołku obok innych kotłów i imbryków. Oryle zrobili mu miejsce u ognia i ciekawie zaczęli się przyglądać. Jeden tylko Obuch nie ruszył się i nie zwrócił ku niemu oczu, nieruchomo utkwionych w płomienie. Karski mimowoli spojrzał uważnie na silną postać i wyrazistą twarz pięknego blondyna.

— O czem myśli ten człowiek!.. — rozważał, przyglądając się zarysom twardej, kwadratowej jego czaszki i dużym uszom ze srebrnymi kolczykami.

W tej chwili włóczęga podniósł głowę, ziewnął i przeciągnął się.

— Hę!.. Coś ckliwo!.. Na co czekamy, chłopcy?..

— Damian jeszcze nie wrócił!..

— Aha!..

— Już jedzie! — uspokoił ich Koźma. — Słyszycie?..

Cicho, miarowo pluskały daleko wiosła, nurtując wśród wiklin. Pary kaczek, spłoszone przez płynących, porywały się od czasu do czasu z krzykiem i zataczały koła w mroczno-różowem powietrzu.

Holownicy ożywili się. Posłani po drzewo „Żyganowie" przynieśli ogromne naręcza suchych patyków i wrzucili je na stos. Obuch z „Majdaniarzem" przywlekli z brzegu wielką kłodę drzewa, porzuconego tam przez powódź.

— Aj, da! Zuchy jesteście!.. — chwalili ich kupcy. wygrzewający u ognia grube członki i okrągłe żołądki.

— Macie siłę! — dodał Tereszkin i spróbował podnieść kłodę, ale nie zdołał.

Obuch spojrzał na nich i uśmiechnął się milcząco.

— Starczy na całą noc!— poważnie zauważył Guran.

— Ciepło będzie...

— Zawsze: co drzewo, to drzewo, nie patyk.

Wszyscy jednak, z wyjątkiem kupców, którzy mieli „swoją wódkę," choć pozornie zajęci rozmową, zwracali niecierpliwie uszy, a niektórzy i oczy w stronę, gdzie coraz wyraźniej pluskały wiosła.

— Oha! — krzyknięto im z wody.

— Bywaj! — odpowiedzieli.

Dno łodzi otarło się z chrzęstem o piasek. Część orylów pobiegła na spotkanie przybyłych. U ogniska pozostali kupcy, Obuch, Majdaniarz, młody Tatar, Achmetka i Spirydion wraz ze szpakowatym, chuderlawym włóczęgą, przezywanym Niemcem. Obaj doglądali kotłów.

Niezadługo w świetle ognia ukazał się Damian, poprzedzony przez tyczkowatego Żygana Większego z beczułką na ręku. Niósł ją pieczołowicie, jak dziecko, miauczał i udawał oblizującego się kota.

— Cóż, kolacya?

— Jest. Siadajcie i opowiadajcie, co słychać w mieście...

— Dawajcie, napijemy się najpierw herbaty, jak się godzi...

Koźma rozdał orylom suchary i cukier, każdy z nich kubek lub filiżankę postawił przed sobą, poczem Niemiec, dźwigając oburącz ogromny imbryk, szedł wokoło i rozlewał napój. Damian przysiadł koło kupców, którzy też kazali przynieść ze szkuty swe „jadło": białe obwarzanki, masło, wędzoną rybę, szynkę...

— A cóż ten? — mruknął Bryłkin, kiwając głową w stronę łodzi.

— Przekłada sam na sam z żoną...— odpowiedział Tereszkin.

ne wybitne cechy ogółu stowarzyszonych. Niektóre z tych głosów grzeszą zbytnim pesymizmem, wogóle jednak znać duże stosunkowo wyrobienie w poglądach i oswojenie się z nową do niedawna kwestyą. Między poszczególnymi artykułami zaznaczymy głos *Tygodnia*, który w krótkim a jędrnym artykuliku piętnuje zbyt rozpowszechnioną u nas wadę braku cywilnej odwagi w publicznem wypowiadaniu swego zdania. Jest to — powiada *Tydzień* — ujemna cecha wszystkich zebrań prywatnych i niemal wszystkich ich członków. Czy to weźmiemy instytucye finansowe, czy towarzyskie, czy wreszcie dobroczynne, wszędzie spotykamy się z pokątną krytyką działalności zarządów lub komitetów... po cukierniach i restauracyach, w klubach i resursach słyszymy złośliwe, często uzasadnione uwagi o osobach, stojących u steru jakiejś instytucyi, ale nie mamy odwagi tego samego wypowiedzieć we właściwym czasie i miejscu, tj. na ogólnych zebraniach i wobec osób, interesujących się daną sprawą. To też członkowie na takich zgromadzeniach słuchają wszystkiego w grobowem milczeniem i wybierają jednogłośnie podsuniętych kandydatów, no a potem przez rok cały... tychże swoich własnych wybrańców krytykują za ich plecami i mniej lub więcej dowcipnie ganią wszystko, co oni zrobią.

Słuszność tej charakterystyki wzajemnego stosunku mocodawców i pełnomocników w większości prowincyonalnych (no i warszawskich co prawda) stowarzyszeń nie ulega wątpliwości i poniekąd jest zjawiskiem zupełnie zrozumiałem: życie nasze zbiorowe zbyt długo wciśniętem było w ciasne ramki stosunków towarzyskich, to też dużo jeszcze wody upłynie, nim staniemy się zdolni do działania i życia gromadnego. Tymczasem z przyjemnością możemy stwierdzić cały szereg dobrze obmyślanych i uzasadnionych prób zaradzenia poszczególnym brakom. *Gazeta Lubelska* donosi np., że założyciele kasy posagowej w tem mieście rozpoczęli starania o utworzenie dla jej członków Towarzystwa pożyczkowo - oszczędnościowego, gdzieby uposażeni członkowie, czekający kolei, mogli realizować swe posagi, unikając w ten sposób dyskontowania w instytucyach lub u osób prywatnych, żądających często za to wysokiego wynagrodzenia.

Co do towarzystw i kas pożyczkowych, to *Tyg. Polski* wystąpił z krytyką obecnego ich urządzenia, i zwraca uwagę na najniezbędniejsze u nas dwa typy kas pożyczkowych, wydających pożyczki drobne od 1 do 50 najwyżej rubli, i instytucyi kredytowej, któraby członkom cechów udzielała pożyczek krótkoterminowych bez poręczycieli osobistych a jedynie za ogólnem poręczeniem zbiorowem cechu. Odrzuciwszy plewy niezdrowego antisemityzmu i ciasne drobno-mieszczańskie stanowisko autora artykułu, musimy gorąco poprzeć dobre ziarno myśli stworzenia możliwie licznych kas drobnego kredytu, które byłyby prawdziwem dobrodziejstwem dla wielkich mas proletaryatu i drobnych rzemieślników. Istniejące obecnie w Warszawie trzy kasy robotniczo-rzemieślnicze W. T. D. zbyt są obstawione formalnościami i nie mogą zaspokoić nawet drobnej części zapotrzebowań, a na prowincyi żywioły te są zupełnie pozbawione kredytu i zmuszone stale korzystać z lichwy i lombardów prywatnych.

Inna sprawa, żywo obchodząca szerokie koła ludności prowincyonalnej, niedawno znowu została odgrzebana przez *Warsz. Dniewnik*, a następnie podniesiona przez wiele organów prasy polskiej. Idzie tu o biura porady prawnej, które, jak wiadomo, mają być zamknięte z d. 1 lipca r. b. z rozporządzenia starszego prezesa warsz. Izby sądowej. „Niektóre pisma polskie — pisze *Dniewnik* — twierdzą stanowczo, że zniesienie biur adwokackich, dostarczających dziś ludności ubogiej taniej porady prawnej, pociągnie za sobą rozwój działalności pokątnych doradców. Wobec tego uważamy za potrzebne zaznaczyć, że tak niepożądanemu objawowi mogłyby przeciwdziałać kuratorya trzeźwości, którym ministeryum skarbu zaleca urządzanie przy herbaciarniach i domach ludowych biur porady prawnej dla niezamożnych. Niezmiernie łatwo byłoby otworzyć podobne biura w Warszawie i innych miastach gubernialnych, niema bowiem wątpliwości — zapewnia *Warsz. Dn.* — że wśród adwokatów przysięgłych i ich pomocników znaleźliby się tacy, którzy poświęciliby kilka godzin na cel tak sympatyczny. Wiara, jak wiadomo, góry przenosi, nie wiem jednak, czy głęboka wiara w swój projekt autora przytoczonego artykułu zdoła przenieść fachowca-prawnika do herbaciarni, gdzieby siłą rzeczy w krótkim czasie rozpoczęła się zajadła walka konkurencyjna pomiędzy „adwokatami“ różnych stopni, począwszy od przysięgłych a skończywszy na sympatycznych „Protaziach.“ A przedewszystkiem w samej zasadzie tkwi błąd: pokątne doradztwo, to głęboko zakorzeniona klęska, a biura porady prawnej, aczkolwiek istniały krótko, w walce z niem mają swoje zasługi i powoli zaczynały zyskiwać sobie popularność w najwięcej zainteresowanych warstwach. Przeniesienie tych biur na prowincyę miałoby znaczenie doniosłe, pożądanem byłoby przeto, ażeby senat, do którego odwołali się członkowie tych biur, kwestyę tę postawił należycie.

Jak wiadomo, zjazd hygienistów sporo sobie nałamał głowy nad kwestyą uzdrowotnienia prowincyi. Chciałbym tutaj przytoczyć kilka przykładów, jak inteligencya i lud prowincyi tę kwestyę pojmuje i jak pojęcia te stosuje w życiu. Oto np. w *Gazecie Radomskiej* znajdujemy ożywioną polemikę w kwestyi sprzedaży mięsa ze zdechłego bydlęcia. Tej tranzakcyi dopełnił obywatel ziemski i musiał następnie odpowiadać za to sądownie. Sąsiad napisał wzmiankę o całym fakcie i o sprawie do *Gazety*. Szlachcic się oburzył głęboko, wygłosił przyjęte w takich razach: „na oszczerców pluję i na kłamstwa gwiżdżę,“ wyzwał sąsiada na języki, zapewniając, że jego kucharz, który to mięso jadł, dotąd żyje i piorunując na nikczemne plotki. Możeby tego pana zaprosić na członka honorowego Tow. hygienicznego?

Albo kilka przykładów, jak lud nasz zwalcza świerzbę, klęskę ubogiej ludności wsi naszych i miasteczek. Taż sama *Gazeta Radomska* donosi, że w Iwaniskach felczer, zapadłemu na tę chorobę, stawia odrazu sto suchych baniek, po wsiach zaś o wiele gruntowniej kurują znachorzy: jedną taką kuracyę dla przykładu przytaczamy. Dziewczyna wiejska, chora na świerzbę, wysłała braci swoich z koszulą do znachora, ten za kilka rubli postawił dyagnozę, że choroba jest zadawniona i przywołał na konsylium drugiego znachora. Obaj, uczyniwszy przeróżne manipulacye z koszulą, zwrócili ją, rokując niejaką nadzieję wyzdrowienia. Koszta tej kuracyi wyniosły: dobrą porcyę okowity, 2 i pół funta kiełbasy i 7 rubli „na dodatek.“ Zupełnie znów radykalnie wyleczyła się z tej choroby z udziałem inteligencyi i zarządu gminy wyrobnica z dworu w Pawłowie, w Lubelskiem, Majewska. Pozbawiona — jak donosi *Gaz. Lubelska* — wskutek obawy zarażenia się świerzbą, zajęcia i dachu nad głową, Majewska posypała się za radą doświadczonych kobiet siarczanem miedzi, który spalił jej ciało. Nieszczęśliwą, okrytą strasznemi ranami,

---

Wszyscy się rozśmieli i posypały się żarty. Gruby Tereszkin cały czas zabawnie wzdychał, przewracał oczami i rżał z cicha.

Tymczasem Spirydion, owiany kłębami dymu i pary, dobywał uroczyście z kotła kawały mięsa i składał na ogromnej pokrywie. Majdaniarz przelewał wódkę z beczułki do flaszek. Damian podał niezwłocznie jednę z nich najstarszemu kupcowi.

— Cóż, dzieci, szczęśliwej drogi... żeby nam się powodziło, żeby wiatr wciąż dął w rudel, żeby ominęły nas mielizny, rapy, źli ludzie!.. Chaim!.. W twoje ręce, Damianie!..

Przeżegnał się, wypił i chrząknął.

Kiedy kielich obszedł kolej, ten sam kupiec zatrzymał butelkę i zwrócił się do Damiana.

— Nie godzi się. On sobie może robić, co chce, ale stary obyczaj każe nikogo nie omijać... Idź, Damianie, proś swego pasażera!..

Karski cicho rozmawiał z żoną, oparty o galeryjkę pomostu. Oleś spał w budzie zawieszonej chustą.

Przejrzysta noc podbiegunowa wisiała nad zamgloną rzeką. Srebrne wody, równie blade jak niebo, wypełniały widnokrąg. Ciemne ostrowia wikliny oraz ciemne pasma gór w dali były jedynemi chmurami, plamiącemi opalowe przestworza.

— Przekonana jestem, że niema miejsca, gdzieby ludzie tacy, jak my, spokój znaleźli. Po powrocie zacznie się to samo. W pustyni skazani jesteśmy na tęsknotę do ludzi: wśród ludzi na ciągłą troskę, niepokój i walkę z nimi... Trzeba ich wciąż myć i ratować, wbrew ich chęciom i oporowi, jak brudne, zaniedbane, nieszczęśliwe dzieci... Już sił nie starczy!.. — mówiła pani Anna z goryczą.

Stefan milczał, szukał wyrazów pociechy i nie znajdował ich. Sam czuł lęk pewien przed tym przepaścistym, ludnym światem, od którego odwykł i który nagle się znów przed nim otwierał.

— Jakoś to będzie! — wyrzekł wreszcie.

— Szanowni państwo pasażerowie! — zabrzmiał w pobliżu małżonków głos chropawy.

Anna drgnęła i schwyciła męża za rękę.

— ...Czy nie raczycie przyłączyć się do naszej kompanii na zapoczątkowanie podróży?.. — gadał uroczyście Damian, występując z za łodzi.

— Idź, Stefanie, ja położę się spać, jestem zmęczona... — powiedziała Anna.

Po chwili Karski siedział w kole orylów i znów ciekawie przyglądał się ich malowniczym postaciom w blasku ognia.

Nie pił, więc wkrótce poczuł się tu intruzem.

— Owszem. Więcej dla nas zostanie! — wyrzekł kupiec z obrazą, biorąc od niego nietknięty kieliszek.

Karski ruszył ustami, lecz odpowiedzi nie znalazł, uśmiechnął się tylko. Uśmiech nie wywołał współczucia. Oryle spoglądali nań wyczekująco i nieprzyjaźnie.

— Życzę wam powodzenia!— wykrztusił wreszcie Karski i podał rękę Damianowi. Czuł się, jak na szpilkach i bardzo był kontent, gdy nagle szmery na rzece zwróciły w tę stronę uwagę obecnych.

— Płynie ktoś!

— A niech płynie! Dalej chłopcy, zabierajcie się, bo do północka przesiedzimy, czekając nie wiadomo na co... Dać panu mięsa, panie pasażer?! A może pan i mięsa nie jada?

Karski kiwnął głową, przyjął kawałek, nadzianej na drewniany szpikulec, wołowiny i wyciągnął swój nóż z pochwy. Inni już pracowali nożami i zębami, obgryzając z chrzęstem kości i mlaskając wargami. Kieliszek krążył, twarze rumieniły się, oczy poczynały błyszczeć.

— A szkoda, że Indor z nami nie poszedł... Wesoły... — rzekł z żalem Bryłkin.

— Niech Bóg uchował!.. Ofiarowałem świętemu Mikołajowi świeczkę, że mię od

odpędzono od zarządu gminnego w Stawie, dokąd udała się po legitymacye do szpitala. Nie mogąc znieść straszliwych męczarni, Majewska utopiła się w przydrożnem jeziorku. Takie u nas bywają zdarzenia w XX stuleciu.

Jako przyczynek do kwestyi hygieny podamy też rezultat wyliczeń *Gaz. Lubelskiej*, która doszła do przekonania, że przeciętny lublinianin kąpie się raz na cztery lata, oraz wiadomość o nadzwyczaj pono wziętym znachorze w Manchesterze polskim; pisze o nim *Goniec Łódzki*. Znachor ten prowadzi ożywiony handel przeróżnego rodzaju „zielami“ od duszności, solitera, „bolenia głowy,“ „wypędzania szumu z głowy,“ od „amerydów,“ róży, przymiotu i wielu innych „boleści.“ Dając „ziele“ w okowicie, wymaga ścisłego trzymania się przepisanej procedury, zależnej od tego, czy „boleść“ jest „trojaka,“ „pięcioraka,“ „siedmioraka“ czy „dziewięcioraka.“

Na tym szeregu obrazków hygienicznych z prowincyi zakończę.

Poruszona w pismach warszawskich kwestya odczytów na prowincyi znalazła przychylny odgłos w prasie prowincyonalnej, przyczem okazało się, iż w wielu miejscach inteligencya rozpoczęła już na własną rękę próby w tym kierunku. Wśród dotychczasowych prelegentów pierwszeństwo mają przybywający z Warszawy, zdarzają się jednak i, co ważniejsza, zupełnie udatne wystąpienia sił miejscowych. Do najlepszych tego rodzaju pomysłów należą odczyty z dziedziny hygieny, zorganizowane przez dr. Skalskiego w Tuszynie oraz odczyty dr. Themessona: „Hygiena i małżeństwo“ i pogadanki dr. Zofii Paferna o hygienie kobiecej, specyalnie dla kobiet w Płocku. Słuszną uwagę w kwestyi tych pogadanek robią *Echa Płockie i Łomżyńskie*, pod adresem panien dorosłych, które świeciły na nich nieobecnością. Zapomniały widocznie nadobne płoczczanki, że obecnie rodzaj dziewic „Gęsi i gąski“ należy do przeszłości, a tak ongi poszukiwana naiwność dziś nosi nazwę gł..ębiej cokolwiek sięgającą.

Inaczej widocznie zapatrują się na kwestyę kobiecą radomiacy o ile sądzić można z artykułu miejscowej *Gazety*, donoszącej o wniesionem do władz podaniu w kwestyi otwarcia w Radomiu szkoły handlowej dla dziewcząt. *Gazeta Radomska* zapewnia przytem, że wszelkie koszta zostaną pokryte przez siły miejscowe. W motywach projektu, przytoczonych przez *Gazetę* uderza jasne i praktyczne pojmowanie kwestyi stanowiska kobiety dzisiejszej. O ile się zdaje, szkoła handlowa dla dziewcząt w Radomiu, będzie pierwszą tego rodzaju szkołą na prowincyi.

Jak się bawi inteligencya prowincyonalna? Czem urozmaica swój pracowity żywot? Gdyby ktoś ciekawy przeprowadził w tym kierunku ankietą, bardzo prędko zaspokoiłby swą ciekawość krótką odpowiedzią, wyjaśniającą kwestyę wszechstronnie: gra w karty. I to jeszcze jak gra. Nad wszelkiemi sprawami: macedońsko - albańską, rui i porubstwa, Rabski-Dawid, ogólnych protestów itd., przechodzi ona do porządku dziennego, spiesząc do zielonego stoliku. Karty powoli stają się alfą i omegą życia towarzyskiego.

Korespondenci z miasteczek i wsi jednogłośnie niemal streszczają nam przebieg zebrań towarzyskich temi mniej więcej słowy: panowie siadają do kart, a panie po wyczerpaniu wszelkich nowinek i ploteczek — ziewają. Za przykładem inteligencyi idzie ludek poczciwy: karty pono o wiele prędzej powędrowały pod strzechy, niż książki, i dziś bodaj nie będzie zbyt dalekiem od rzeczywistości marzenie idealisty-winciarza: chatka kmiecia pracowitego, w niej w zimowe wieczory żona len przędzie w świetlicy a mąż z sąsiady stanowią świetnie zgrany kwartet wintowy. Sądząc z korespondencyj przynajmniej, karty są dziś najwięcej rozpowszechnioną rozrywką tak robotników na wycieczce zamiejskiej, jak pastuszków na wygonie.

Choć zresztą są i dziwacy, którzy wolą się bawić inaczej. Tacy np. kaliszanie — ludzie zresztą jak z dziejów wiadomo, zawsze niespokojni; ci zorganizowali przed 8 laty, wspaniale się rozwijający oddział kaliski Tow. ratowania tonących, będący właściwie miejscowem Tow. wioślarskiem. Towarzystwo to liczy obecnie, jak widać z podanego przez *Gazetę Kaliską* sprawozdania, 182 członków, którzy bawią się wybornie, w przeciwieństwie do podobno niezbyt energicznych wioślarzy płockich i włocławskich... Jak wieść niesie, są oni Polakami, choć ktoś twierdził, że sportem i gimnastyką mogą u nas zajmować się tylko Niemcy w Łodzi, Pabjanicach i Zgierzu, gdzie istnieją jedyne towarzystwa gimnastyczne.

Zresztą ci kaliszanie wogóle są dziwni jacyś: ot teraz np. chce im się urządzać wystawę robót terminatorskich, mającą objąć wszelkie gałęzie drobnego przemysłu i rzemiosł. Wystawa ma się odbyć pomiędzy 21—29 czerwca r. b., na sędziów zaproszono majstrów po 3 z każdego cechu. Organizacyą wystawy zajmuje [illegible]arząd miejscowego Tow. pop. ros. przem. i handlu. Na zgromadzenie, zwołane przez inicyatorów kwestyi wystawy, w pierwszym terminie stawiło się przeszło 100 majstrów.

Warto, ażeby za Kaliszem poszły i inne większe miasta Królestwa.

J. Dąbrowski.

Z nad Warty i Odry.

Ruch przedwyborczy w Poznańskiem. — Istota „ruchu ludowego.“ — Nasi ludzie. — Szymański i narodowi demokraci. — Zebranie w Opalenicy, w Kościanie, Pleszewie i Szamotułach. — Kandydatury w Prusach Zachodnich.

Ruch przedwyborczy w Księstwie Poznańskiem rozpoczął się stosunkowo daleko później, aniżeli w Prusach Zachodnich lub na Górnym Śląsku, ale pod względem siły napięcia nie ustępuje on w niczem ruchowi w tych dzielnicach. Zebrania przedwyborcze, zwoływane w celu wysłuchania sprawozdań poselskich dotychczasowych wybrańców narodu i postawienie kandydatur, przypominają swym przebiegiem burzliwym to, co się działo przed dziesięciu laty. Tylko że wówczas hałaśliwy „ruch ludowy,“ kierowany przez dr. Szymańskiego, redaktora *Orędownika*, nie ogarniał tak szerokiego obszaru, jak dzisiaj, ograniczając się prawie wyłącznie do samej stolicy prowincyi. Dziś zaś, przybierając znowu chętnie miano „ludowego,“ rozlał się po całym niemal kraju. Już przez to samo objawy jego ogromnie zyskały na znaczeniu i sile, ale czy dzisiejszy „ruch ludowy“ w Poznańskiem dojrzał ideowo, pogłębił się programowo— na to zgóry należy odpowiedzieć przecząco.

Kiedy mowa o „ruchu ludowym,“ zwykle zupełnie bezwiednie nasuwa się myśl, że ma się do czynienia z czemś podobnem do galicyjskiego ruchu ludowego z jego hasłami: „wybierajmy chłopów na posłów!“ „precz ze stańczykami,“ z jego przedstawicielami - chłopami, takim Bojką, Wojcikiem itd. Tymczasem nic bardziej fałszywego, jak przeprowadzenie jakiegoś podobieństwa pomiędzy Poznańskiem a Galicyą

---

niego wybawił... Burzyciel, przechera i nie wiadomo co jeszcze... — mówił żałośnie Damian.

— Niebezpieczny człowiek! — potwierdził Koźma.

Oryle uśmiechali się nieznacznie i milczeli.

— O tak, szkodliwy człowiek!—przywtórzyli jedynie obaj Żyganowie. Lecz jednocześnie obejrzeli się za siebie na rzekę, skąd coraz wyraźniej dobiegał łopot uderzających wioseł.

— Ohej! — doleciał ich wkrótce pytający okrzyk.

— Bywaj!.. Kto tam?..

— A wy, czyi jesteście?

— Koźmy i Damiana!..

— Właśnie! Was szukamy! Przybijaj!

Czekali z wyciągniętemi szyjami, zapatrzeni w stronę, gdzie wśród krzewów łoskotała przybijająca łódź. Za chwilę wikliny rozstąpiły się i ukazał się Indor z przewoźnikiem, Jakutem.

— Skąd? Poco?..

— Stęskniłem się... — mówił poważnie Indor z ręką na sercu. — Taką uczułem tęsknotę, że zaraz siadłem list pisać, ale że poczta tu nie chodzi, więc go sam przywiozłem. Oto on! Nie odtrąćcie opuszczonego towarzysza — dodał, wyjmując z zanadrza zaszarganą kopertę. Podawał ją najbliższym, ale wszyscy odsuwali się ze śmiechem, podejrzewając żart nieprzyzwoity.

— Przyznaj się, stary opoju, że zwąchałeś wódkę! — żartował zadowolony Bryłkin.

— Nawet wiedziałem, że napewno będzie... Wasza miłość słów nigdy na wiatr nie rzuca! Widziałem tego Judasza, jak wynosił z szynku beczułkę. Wydała się wartą fatygi. I nawet ta jakucka morda dała się przez nią skusić.

— Tylko ty, Indorze, tutaj nie możesz sobie pozwalać. Judaszem mię nazywasz!— obruszył się Damian. — Tu nie miasto, tu z tobą krótkie gadanie.

Włóczęga przyjrzał mu się zmrużonemi wzgardliwie oczami, poczem trzymany w ręku kieliszek wódki szybko wychylił i wąsy ręką obtarł.

— Oj, Damianie! Damianie!.. Niewdzięczniku! Losy ci posyłają wybornego wioślarza, starego doświadczonego oryla, a ty wydziwiasz!.. Czyżby was, bracia, było istotnie zadużo i łódź wydawała się wam za lekką?.. Ale nie po to przychodzę a z powodu, że nie mogło sumienie moje, Damianie, znieść twego zadatku... Po to jedynie przyjechałem, aby ci go oddać... Ale ponieważ, psia twoja mać, wzgardę mi okazujesz, oddam ci go za karę dopiero jutro!..

Wszyscy, wyjąwszy Damiana, brali się za boki.

— Ach, szelma!.. Pies!.. Słyszeliście, co wymyślił... Su-mie-nie!.. Ha!.. ha!..

— Już dobrze! Dość!.. Rachunki jutro!.. Dzisiaj dawajcie, chłopcy, hulać, śpiewać... Dalej, Indor, zaczynaj!..—nastawali kupcy.

— Poczekajcie, niech sobie trochę gardło przetrę... Mam jeszcze grdykę pełną mgły rzecznej.

Bryłkin podał włóczędze już nie kieliszek, ale pełną filiżankę wódki. Indor wypił, czapkę na ucho nasunął, oparł się rękami o kolana, pochylił naprzód i zaśpiewał wysokim falsetem:

Oj na morzu, morzu sinem

. . . .

Oj na morzu, morzu sinem—

odpowiedział nizko i potężnie chór.

Płynie łabędź, łabędź biały —

wciął się znów weń ostrym głosem Indor.

Płynie łabędź, łabędź biały —

huczał wtór.

(C. d. n.)

w tym względzie. W Poznańskiem głównymi uczestnikami „ruchu ludowego“ są nie chłopi, lecz drobne mieszczaństwo, robotnicy i inteligencya miejska. Rzemieślnicy i sklepikarze są w tym „ruchu ludowym“ najważniejszym czynnikiem składowym, inteligencya zawodowa sztabem, a chłopi, o ile biorą w nim udział, zwykłymi statystami. Scharakteryzować program tego „ruchu ludowego“ ogromnie trudno, gdyż właściwie on żadnego programu konkretnego nie posiada. Na razie hasłem, łączącem żywioły, biorące w nim udział, jest „precz z przedstawicielami dotychczasowej polityki parlamentarnej reprezyntacyi polskiej!“ Wzmagające się prześladowanie żywiołu polskiego w Prusach budzi coraz większe rozgoryczenie wśród wzrastającej liczebnie polskiej ludności miejskiej. A ponieważ większość Koła Polskiego trwa w swym uporze serwilistycznym względem rządu pruskiego i nie chce (a raczej ze względów klasowych nie może) zająć stanowiska opozycyjnego, więc w miarę budzenia się antagonizmu narodowościowego w coraz ostrzejszej formie, taktyka Koła spotyka się z coraz ogólniejszem potępieniem. Klasowo-agraryuszowskie stanowisko Koła potępiane jest znów przez drobne mieszczaństwo, robotników, i inteligencyę z pobudek ekonomiczno-społecznych. Ale jaką politykę mają prowadzić ci „nowi ludzie“, których chce „ruch ludowy“ wprowadzić do Koła Polskiego na miejsce dotychczasowych posłów — tego on nie wie. Nie wie też ani *Orędownik* — oficyalny organ tego, co się „ruchem ludowym“ nazywa, ani *Goniec Wielkopolski* — organ demokratów narodowych, starających się od niejakiego czasu ruch ten opanować w interesie swego kierunku.

Orędownik, a raczej jego redaktor, p. Szymański, przeżywał już różne fazy rozwoju. Przemawiał w duchu socyalistycznym, zanim nie począł pomagać policyi pruskiej w łapaniu emisaryuszów socyalistycznych z czasów praw wyjątkowych w Niemczech. Był lojalistą pruskim, kiedy Koło bawiło się w opozycyę i natychmiast stał się skrajnym opozycyonistą, kiedy szlachta przerzuciła się do taktyki „dworskiej.“ *Orędownik*, jeśli może jaki wpływ wywierać, to chyba jedynie w kierunku wytwarzania strasznego chaosu pojęć. Co do demokratów narodowych, to stanowią oni, bądź co bądź, żywioł bardziej współczesny, aniżeli *Orędownik*, robiący wrażenie czegoś z przed lat 30—40. Ale i oni nie potrafią chyba wytworzyć z „ruchu ludowego“ partyi opozycyjnej we właściwem tego słowa znaczeniu, ponieważ brak im w gruncie rzeczy wszelkich trwałych zasad, które zastępują błyskotliwą frazeologią nacyonalistyczną, mogącą przez dłuższy czas imponować tylko całkiem bezmyślnym żywiołom.

Tak więc „ruch ludowy“ w dzisiejszej jego formie skazany jest na bytowanie jałowe, a zwycięztwo jego mogłoby wprowadzić do Koła w najlepszym razie paru mówców, używających bardziej ostrego tonu wobec rządu i może nie tak skwapliwie popierających wszelką reakcyę, jak to jest dzisiaj w Kole. Doniosłe znaczenie „ruchu ludowego“ polega na tem, że bądź co bądź osłabia on — i to nawet bardzo — dotychczasowy wpływ polityczny „urodzonych“ przywódców narodu i w ten sposób toruje drogę dla czynników rzeczywiście opozycyjnych społecznie i narodowo.

Tymczasem walka „ludowców“ z „ugodowcami“ wre i rozwija się coraz bardziej. Najostrzejsze formy przybrała ona dotychczas w dwóch okręgach — bukowsko-kościańskim i pleszewsko-wrzesińskim. W pierwszym „ruch ludowy“ zwraca się przeciwko dotychczasowemu posłowi Cegielskiemu — w drugim pragnie usunąć dr. Dziembowskiego. Na razie sprawa kandydatur nie jest jeszcze ostatecznie załatwioną, ale to, co się dzieje przy wyborze kandydatów w poszczególnych miejscowościach dwóch tych okręgów, nic pocieszającego nie zapowiada posłom dotychczasowym. Zwłaszcza znamienne są walne wiece wyborców w Opalenicy, Kościanie i Pleszewie.

W Opalenicy opozycya stanowiła tak znaczną większość, że o przejściu kandydatury p. Cegielskiego nie mogło być mowy. Zrozumieli to organizatorowie wiecu i, skorzystawszy z hałasu w sali, wpłynęli na przewodniczącego, aby wiec rozwiązał przed ukończeniem mowy kandydata. Nie przyszło więc do żadnej dyskusyi, ani do stawiania kandydatur i zgromadzenie będzie musiało być zwołane po raz drugi. Zwolennicy Cegielskiego żywią nadzieję, że się uda następne zebranie urządzić pomyślniej dla ich kandydata. Nadzieje napewno ich zawiodą, gdyż drobne mieszczaństwo, wybierające dotychczas tego posła, tak jest przeciwko niemu rozgoryczone, że potrafi i na następnem zebraniu zdobyć większość. Że ono umie energicznie dążyć do celu, pokazuje wiec w Kościanie.

W Kościanie przeciwnicy Cegielskiego już na pół godziny przed zgromadzeniem szczelnie wypełnili salę, tak że z góry można było przypuszczać, iż będą mieli większość stanowczą. Poseł Cegielski podziękował za zaproszenie go na zebranie i przeszedł do sprawozdania. Jestem waszym starym znajomym — mówił — więc nie potrzebuję się zalecać. Dziwi mnie przeto agitacya, podjęta przeciwko mej osobie. I zniewolony jestem zapytać z jakiego powodu! Cóż takiego się stało? Gdyby mi przed kwartałem kto powiedział, że wyborcy moi będą przeciwko mnie agitowali, odpowiedziałbym mu, że jest waryatem. Dlaczego właśnie mieszczanie mają być przeciwko mnie, mieszczaninowi? Przecież powinni być zadowoleni, że mieszczanin reprezentuje ich w parlamencie. Agitacya przeciwko mnie musi być oparta na oszustwach i kalumniach. Zarzucają mi, że jestem milczącym posłem. Gdy wstąpiłem do parlamentu, należałem do często mówiących, bo wówczas mniejszy był procent mówców w Kole, dziś jest ich dosyć. Do zarzutów należy także miano „ugodowiec“, którem mnie obsypują. Ależ to przestarzałe, bo dziś ugodowców wśród Polaków w Prusach niema i być nie może. Ja uroczyście protestuję, jakoby w Kole polskiem zasiadali ugodowcy. Następnie Cegielski opowiedział wyborcom o działalności posłów w Kole, w komisyach i na posiedzeniach parlamentu. Obszerniej rozwiódł się o cłach ochronnych, usiłując wmówić zebranym, że interes wielkich rolników jest ten sam, co interes całego społeczeństwa. Kończąc swą przeszło godzinną przemowę, Cegielski oświadczył, że ubieganie się o mandaty poselskie nie ma właściwie żadnego celu, bo ta garstka Polaków w parlamencie nic nie znaczy, i wszystko jedno, czy w Kole zasiadać będą demokraci, czy inni. Chodzi przedewszystkiem o to, aby Koło było solidarne pod każdym względem. Główna rzecz, abyśmy byli dobrymi katolikami „Polakami,“ kierującymi się rozwagą, nie krzykaczami. Pracowałem 20 lat sumiennie i uczciwie na arenie parlamentarnej. Możecie panowie znaleźć człowieka lepszego, ale nie znajdziecie bardziej przywiązanego do narodu i kościoła — pod tym względem przelicytować się nie dam.

Przemówienie Cegielskiego przyjęto oklaskami, ale kiedy przyszło do głosowania nad listą kandydatów, były poseł przepadł. Przeszła lista „ludowców“ — dr. Skarzyński, dr. P. Niegolewski i p. Chrzanowski. Właściwym więc kandydatem został dr. Skarzyński.

Ten sam los spotkał na zebraniu przedwyborczem w Szamotułach hr. Hektora Kwileckiego. Kiedy ten niefortunny autor projektu kandydowania jako centrowiec skarżył się na bojkotowanie ludności polskiej przez władze wojskowe, przypominano mu, że przecież on sam głosował wraz z całem Kołem za powiększeniem armii niemieckiej i kosztem ludu przyznał rządowi na ten cel nowe miliony. Nic pomógł mu nawet wybieg, za pomocą którego chciał skierować uwagę słuchaczów na ofiary wrzesińskie. Wyborcy nie pozwolili mu nawet dokończyć mowy, a przy głosowaniu obalili kandydaturę komitetu i przeprowadzili listę własną z hr. Maciejem Mielżyńskim, zwolennikiem „ruchu ludowego,“ na czele.

Jest prawdopodobne, że się ks. Jażdżewski nie utrzyma wobec „ludowców“. Nie stawał on dotychczas przed wyborcami, ale ci mu gotują, jak już powszechnie wiadomo, wcale niemiłe spotkanie.

Wogóle zanim nastąpi urzędowe ogłoszenie kandydatur z całego Księstwa, dotychczasowy zastęp jego reprezentantów zostanie porządnie przetrzebiony przez niezadowolone drobne mieszczaństwo, jak się to już stało w Prusach Zachodnich.

Dnia 6 maja w Grudziądzu zebrał się zjazd delegatów w celu ostatecznego uchwalenia kandydatur na Prusy Zachodnie, Warmię i Pomorze. Powszechne zaciekawienie budziła sprawa kandydatury p. Kulerskiego, przeciwko któremu kler zachodnio-pruski z księdzem Kujotem na czele prowadził tak zażartą wojnę oszczerczą, że można było się spodziewać jakiegoś nadużycia ze strony delegatów. Widocznie jednak rozgoryczenie mas ludowych w Prusach Zachodnich jest zbyt silne, aby można było odważyć się na usunięcie kandydatury redaktora pisma, posiadającego około 50,000 prenumeratorów. Kandydaturę Kulerskiego wystawiono co prawda w okręgu, straconym podczas ostatnich wyborów, lecz łatwym do odzyskania przy jakiej takiej agitacyi. Właściwie mówiąc, okrąg ten (grudziądzko-brodnicki) został w r. 1898 stracony jedynie wskutek tego, że komitet nie chciał uznać woli wyborców, domagających się kandydatury Kulerskiego i postawił zamiast niego osobistość niepopularną.

Oprócz Kulerskiego z ludzi nowych otrzymał kandydaturę Górski, bogaty włościanin (gbur) z Mirotek, zdecydowany zwolennik ruchu ludowego. Jego kandydaturę postawiono w całkiem pewnym okręgu kościewsko - starogrodzko - tczewskim. Inny zupełnie pewny okrąg dostał się Czarlińskiemu, należącemu w dotychczasowem Kole do lewicy. Tylko jeden jeszcze pewny okrąg zachodnio-pruski otrzymał jako kandydata, zwolennika dzisiejszej serwilistycznej polityki większości Koła. Resztę okręgów (zupełnie niepewnych) obsadzono w następujący sposób: w okręgu toruńsko-chełmińsko-wąbrzeskim — Brejski, redaktor *Gaz. Toruńskiej*; w lubawsko-suskim — Rzepnikowski; w człuchowsko-złotowskim oraz w wałeckim — Komierowski; w sztumsko-kwidzyńskim — Czarliński; w Warmii — ks. Wolszlegier; na Pomorzu — Połczyński.

Pośrednik.

Stanisława Szczepanowskiego
„Myśli o odrodzeniu.“

Dziwna to książka: obok głębokich myśli, wskazań, godnych najlepszych naszych polityków ubiegłego wieku — mgliste ogólniki, albo zasady tak odbiegające od stosunków współczesnych, oparte na tylu złudzeniach, że wcielenie ich w życie byłoby równoznaczne z przytłoczeniem grobową deską wszystkiego, co żywe, co dąży do odrodzenia naszego społeczeństwa. Cały tragizm polityczny tej

niedorosłej a przedwcześnie zwiędłej klasy, która się zowie mieszczaństwem galicyjskiem, streścił się w tych poglądach i w samych losach człowieka niewątpliwie wybitnego, o życiu zmarnowanem i złamanem, jakim był Szczepanowski.

Autor „Myśli o odrodzeniu" wychował się w Anglii. Widział tam administracyę na pozór chaotyczną, ale doskonale funkcyonującą, dzięki ogromnej liczbie ludzi dzielnych i inteligentnych. Studyował też życie polityczne, którem kierują w Anglii dwie partye — konserwatywna i liberalna. Obie one służą interesom mieszczaństwa — każda po swojemu — ale obie pilnie wystrzegają się pozorów klasowości, co im się, zwłaszcza względem cudzoziemców, tembardziej udaje, że posiadają w swem łonie przedstawicieli różnych klas. Wszystko to złożyło się na wyrobienie w umyśle Szczepanowskiego przesadnego wyobrażenia o roli jednostki, a nie dało mu najmniejszego pojęcia o olbrzymiem znaczenia walki klas, czynnika, który właśnie na gruncie angielskim tak po mistrzowsku poznany został i zanalizowany przez innych ludzi.

Szczepanowski przybył do Galicyi z wielkim zasobem pracowitości i energii, oraz żądzą czynu. Pola do pracy, zdawałoby się, nie brakło: szkolnictwo i administracya, handel i przemysł — wszystko jest w Galicyi zaniedbane, szczególniej w porównaniu z Anglią. Jak jednak złemu zaradzić? Czy weźmiemy bowiem urzędy, czy banki, wszędzie spotkamy się z rozpanoszonym arystokratą lub półpankiem, który z żelazną wytrwałością i konsekwencyą potrafi sprzeciwić się wszelkiej reformie. Szczepanowski zwrócił się do mieszczaństwa, stał się członkiem stronnictwa „demokratycznego" i... poszedł zwykłą drogą wszystkich demokratów galicyjskich, notabene uczciwych (mniej skrupulatni, jak kolega Szczepanowskiego, Lewicki, dostają się do klerykalnego *Słowa* warszawskiego). Ani mieszczaństwo galicyjskie, ani jego wytwór — demokracya, nie są w stanie walczyć ze szlachetczyzną, chociaż jest to wróg, bez obalenia którego wpływu niczego w Galicyi poprawić nie będzie można. I Szczepanowski nie występował jako wróg stronnictwa szlacheckiego, lecz usiłował przekonać je o potrzebie służenia ojczyźnie. A oni słuchali perswazyi, używali Szczepanowskiego, gdzie była jaka ciężka albo nieprzyjemna praca, do udziału w rządach go nie dopuszczali, a gdy przestał być potrzebny, powalili go na ziemię i z zimną krwią przeszli się po jego trupie.

Stąd pochodzi ta rzucająca się w oczy nierówność utworów Szczepanowskiego. Weźmy np. jego studya o liceum krzemienieckiem, pełne dokładnego zrozumienia tego, co stanowiło zalety systemu wykształcenia na początku XIX wieku i co tak korzystnie wyróżnia go od dzisiejszych wyrobów c. k. Rady szkolnej galicyjskiej, — porównajmy następnie to studyum z „Aforyzmami o wychowaniu," ogłoszonymi przed otwarciem ankiety szkolnej, mającej się naradzić nad reformą szkoły średniej w Galicyi. Wychodząc z pod pióra człowieka tej miary, co S., powinnyby te „aforyzmy" być jednym wielkim aktem oskarżenia dzisiejszego systemu wychowania, wyryć się ognistemi zgłoskami, jeśli nie w wyziębłych sercach biurokratów, z których składała się połowa członków ankiety, to przynajmniej u tych wszystkich ojców i matek, których dzieciom torturuje się dziś mózgi, skrzywia charakter i serce. Zamiast tego znajdujemy mgliste, ostrożnie wypowiedziane ogólniki, połączone z zalecaniem ludowi, by pamiętał, że „się nie stał ani lepszym, ani mądrzejszym od tych, którzy od lat tysiąca i to nieraz z chlubą i chwałą wiekopomną, na swoich karkach losy ojczyzny nosili" (str. 216). O zwycięztwie swoich idei w łonie ankiety szkolnej S. nie mógł myśleć, ale mógłby zorganizować w kraju stronnictwo, któreby z hasłem reformy szkół rzuciło się do walki z systemem dzisiejszym, gdyby... nie był demokratą galicyjskim.

Zasadniczą myślą wszystkich artykułów S. jest potrzeba odrodzenia się wewnętrznego, tj. podniesienia zarówno charakteru, jak i wiedzy w społeczeństwie i zwrócenia się we wszystkich przejawach duchowej twórczości ludzkiej do źródeł narodowych. Przytem to ostatnie pojmuje on wcale nie w duchu parafiańsko-szowinistycznej wyłączności, którаby potępiała i odrzucała wszystko co obce, dlatego tylko, że jest obce. Owszem, na każdym kroku zwraca on uwagę na to, że nasi np. wieszcze zbrojni byli w całą wiedzę Europy Zachodniej, ale potrafili zużytkować ją na tworzenie rzeczy tak rdzennie swojskich, jak ich utwory. Główną zaletę naszą znajduje S. w zdolności do poświęcania się, która utrzymywała nas pomimo wszystkich braków jego ustroju, ale też wpada w mistycyzm, widzi bowiem w spotęgowaniu tej zalety posłannictwo nasze, z góry nam nadane i przypuszcza nawet, że Polacy są powołani przez Boga do urzeczywistnienia typu, który zawładnie ludzkością.

Chorobliwe majaczenia Lutosławskiego o przewodniej roli szlachty, metampsychozie, duchach polskich, które kiedyś się odrodzą i zapanują nad światem, mają bez wątpienia swe źródło w utworach Szczepanowskiego, chociaż ten ostatni tylko zarodki mistycyzmu posiadał i rzucał jednocześnie niejedno zdrowe ziarno. Na chwałę S. trzeba też powiedzieć, że nie znajdujemy w jego utworach ani śladu tego dzikiego szowinizmu, który cechuje dzisiejszych jego spadkobierców w *Słowie Polskiem*. Owszem, jeszcze w „Farysie zwycięzcy" — jednym z pierwszych utworów — powiada on, że naród polski odznaczał się siłą kojarzenia dobrowolnego.

Dużo miejsca poświęca S. walce z kosmopolityzmem. Nieraz według niego przychodziły w dziejach ludzkości chwile tryumfu beznarodowej kultury, mającej wszelkie pozory siły i świetności, np. kultura grecka, rzymska, renesansowa, francuska w. XVIII — ale zawsze ginęły one wśród kataklizmów, które wykazywały całą ich słabość. Przytem wygłasza on często zupełnie zdrowe myśli, np. mówi: „nie ten naród wyjdzie zwycięzko z próby ogniowej walki z rozhukanymi żywiołami społecznymi, który się zasklepia w samym sobie i tych nowych prądów znać nie chce, ale ten, który *ich treść zbawienną najprędzej urzeczywistni i nada im najdoskonalszą formę*" (234). Toż to są słowa, warte jak najszerszego rozpowszechnienia w sferach mieszczańskich. Ale obok tego S. nie może powiedzieć o radykalnych prądach społecznych, jak tylko, że są „wstrętne, materyalistyczne i żydowsko-niemieckie," a w „Dezynfekcyi prądów europejskich" wykazuje najzupełniejsze niezrozumienie wielu objawów życia współczesnego, np. umie tylko potępić Zolę.

Wogóle zaś zauważyć można, że pierwsze utwory Szczepanowskiego są o wiele lepsze od późniejszych, gdzie, może pod wpływem zmęczenia, myśli stają się coraz bardziej mgliste i spowijają się w mistyczne osłonki.

Aleks.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Bajka o wodzie i młynarzu.

Gazeta Polska jest kokietką. Ma ona zwykle twarz gęsto zawoalowaną, mówi cicho, półsłówkami, a używa języka tak nieuchwytnego, że w chwili, gdy jej słuchacze sądzę, że robi swawolne obietnice, ona nagle powiada: panowie, zmówmy pacierz. I oto znowu w przeszłym tygodniu zrobiła taki *tour de face*, wystąpiwszy z modlitewnikiem w jednej ręce, a rózgą na demokratów — w drugiej. Jestem oburzona — rzekła ona do dorosłych dzieci — gdyż wieści nadchodzące z Francyi „powinny cywilizacyę smucić a demokracyę trwożyć." Powinny, a nie smucą i nie trwożą. Co tam się dzieje! „Rządy bata!" Rozpędzają nim biednych, poczciwych mnichów, których jedyną zbrodnią było to, że chcieli uczyć. Wyprowadzono ich z klasztorów, pomimo że publiczność męczennikom „rzucała kwiaty i powiewała chustkami." Czy stwierdzono przynajmniej, że „wychowanie religijno-klasztorne sieje wśród młodego pokolenia ducha obskurantyzmu"? Bynajmniej. Zresztą „czy kongregacye oddziaływały na społeczeństwo francuskie dobrze, czy źle—*to wszystko jedno.*" Skoro każdy z poddanych francuskich, ba, każdy z nas *prawie* może tam pojechać i otworzyć szkołę, która będzie mogła nauczać albo w świetle spirytyzmu, albo w świetle buddyzmu, albo w świetle judaizmu lub jakiemkolwiek innem," to dlaczegóż pozbawiono tego prawa zakony? Dlatego, że „demokracya społeczna i stronnictwa t. zw. liberalne ze szczególną złośliwością rzucają się na religię, względnie na duchowieństwo... Chłopu wara od kościoła, ale upijać się u żyda w karczmie może; łyk miejski niech sobie uczęszcza do lupanarów, niech słucha wykładów różnych *durniów*, byleby nie wpadł w ręce klechów (i nacyonalistów)." Francya powtarza błąd i gwałt Bismarcka w *kulturkampfie*. Nie tak myśleli i postępowali wielcy *praecursorowie* demokracyi, „dość czytać jednego z ostatnich—Tocqueville'a." W tym szlachetnym głosie oburzenia, spadającym z najwyższych szczytów humanizmu, wszystko jest słusznem i prawdziwem, z wyjątkiem następujących bardzo drobnych usterek.

Popierwsze. Rząd francuski nie prześladuje religii, która używa pełnych praw swobody, ale walczy z księżmi, chcącymi działać bezprawnie i bezkarnie.

Powtóre. Czy kongregacye oddziaływają na społeczaństwo dobrze, czy źle — to może być „wszystko jedno" dla *Gazety Polskiej*, ale nie dla rządu.

Potrzecie. Rzucanie mnichom kwiatów i powiewanie chustkami niczego nie dowodzi.

Poczwarte. *Nie każdy* może założyć szkołę we Francyi i uczyć w „jakiemkolwiek świetle."

Popiąte. Żaden demokrata nie zamyka przed chłopem kościoła i żaden nie otwiera łykowi lupanaru.

Poszóste. Porównanie *kulturkampfu* niemieckiego z obecną reformą zakonów we Francyi jest porównaniem pięści z nosem. Bismarck gnębił *katolików*, Combes ogranicza *mnichów*, Bismarck stworzył dla katolików prawa *wyjątkowe*, Combes podciąga mnichów pod prawa *ogólne*.

Posiódme. Rząd francuski nie pozbawia klasztorów swobody, innym stowarzyszeniom przyznanej, lecz znosi ich przywileje.

Poósme. Przytoczony *praecursor*, Tocqueville powiada: „W tych czasach, bardziej niż w innych, religie powinny trzymać się swych właściwych granic i nie starać się o przekroczenie ich.“

Podziewiąte. *Gazeta Polska* nie nauczyła się jeszcze rozróżniać wody od młynarza: woda — jak ktoś zauważył — może być czysta, a młynarz nieuczciwy. Podobnie rzecz się ma z religią i tymi, którzy zapomocą niej mielą swe osobiste interesy.

Co po za tem zostało z wywodów *Gazety*, jest sprawiedliwem.

Rangi literackie.

Dzięki p. Lorentowiczowi będziemy — my literaci — dokładnie ponumerowani. Otrzymawszy od wydawnictwa francuskiego, *L'Europe littéraire d'aujourd'hui*, misyę napisania „historyi literatury polskiej ostatnich lat dwudziestu,“ rozesłał on 37 kwestyonaryuszów do „najwybitniejszych krytyków“ (aż tylu ich mamy!) z prośbą o wskazanie mu „40 pisarzy naszych z ostatniej doby, których prace uwzględnione być mają w zamierzonem wydawnictwie.“ Otrzymał 22 odpowiedzi, z których ułożył i ogłosił w *Kuryerze Codziennym* listę. Na czele jej stoi Sienkiewicz z Żeromskim, na końcu Żuławski z Klaczką. Niektóre szczeble tej drabiny są jak gdyby przestawione ręką figlarza. Tak np. ktoby się domyślił, że do najznakomitszych i godnych uwagi europejskiej autorów polskich należy p. Przesmycki (Miriam), który ma przewyższać Reymonta, Przybyszewskiego, Kasprowicza, Orzeszkową itd.? Podobnych niespodzianek jest kilka. Ponieważ p. L. wnosi teraz sprawę do drugiej instancyi i wzywa do głosowania czytelników *Kuryera*, więc prawdopodobnie owa lista zmieni nam znowu rangi literackie. Do tego więc czasu nie możemy tytułować się według klas. Ale niezależnie od tego, dziwna to będzie „historya literatury polskiej z ostatnich lat 20,“ która uwzględni tylko 40 autorów. Nawet dla Francuzów chyba nie wystarczy taka wiedza dla poznania piśmiennictwa, które przecie liczy aż 37 krytyków!

Chybione polowanie.

Dziennikom naszym wymknęła się z rąk „sensacya,“ która obiecywała im przez jakiś czas dostarczać podniecającego napoju dla znudzonych czytelników. Gazeta rosyjska *Wołyń* doniosła, że do Odesy przywieziono z Egiptu jakiegoś J. P. hr. Potockiego w stanie beznadziejnym, że jego żona przedtem z rozpaczy zagłodziła się itd. Ponieważ był to hrabia, a więc istota, której choroba, zwłaszcza przyprawiona tragiczną okolicznością, jest wypadkiem społecznym doniosłego znaczenia, więc zaczęto telegrafować, szukać bohatera w almanachach, wzywać badaczów do ustalenia jego osoby, a nadewszystko pisać obszerne artykuły. Nareszcie okazało się, że ów Potocki jest sędziwym starcem i — co gorsza — „zwyczajnym śmiertelnikiem.“ „Zwyczajny śmiertelnik,“ którym zaprzątano telegraf, księgi rodów i opinię publiczną! Można sobie wyobrazić gniew i smutek myśliwych, którzy polując na lwa, złapali mysz. Trzeba jednak przyznać, że to polowanie miało swój dodatni skutek. Stwierdziło ono bowiem raz jeszcze wierność służby dziennikarskiej, która zna swoje obowiązki względem panów, która może przemilczeć tysiące nieszczęść, bohaterstw, zasług „zwykłych śmiertelników,“ ale obniesie w uroczystej procesyi najdrobniejszy szczegół z życia magnatów. Może sobie cały legion takich Potockich, jak ów przez pomyłkę wzięty za arystokratę, cierpieć i konać, nikt się o nich w prasie nie zatroszczy, jak nikt nie zatroszczył się o Józefa Potockiego, znanego pisarza, który przed kilku laty zginął tajemniczą śmiercią; ale niechno jakiś Józef hr. Potocki złamie nogę, będziemy mieli codzień biuletyny o stanie jego zdrowia. To w naszym języku warszawskim nazywa się „demokratyzacyą społeczeństwa.“

Sztuka i narodowość.

Od pewnego czasu zaczęło nas znowu niepokoić pytanie, w jakim stosunku wzajemnym powinny stać do siebie sztuka i narodowość. Na ten temat przemówił świeżo na szpaltach *Tygodnika Mód i Powieści* p. Adam Szpadkowski, przemówił pięknie i ciepło. Ale właśnie dlatego, że pisze pięknie i szczerze, że pisze ciepło i z ogromnem przekonaniem, pragniemy wziąć za podstawę artykuł jego celem wykazania, jaki zasadniczy błąd popełnia się w tej tak ważnej dyskusyi. „Dla niektórych osób poważnie i gruntownie myślących — rozpoczyna p. Szpadkowski — już w samym tytule niniejszego artykułu (Sztuka i narodowość) leży jego osnowa i całkowite rozwinięcie.“ Niestety znamy bardzo dużo osób poważnie i gruntownie myślących, dla których taki tytuł jest dopiero ogromnym znakiem zapytania. Szukajmy tedy w artykule p. Szpadkowskiego odpowiedzi na to zapytanie. Mamy tezy wstępne. Sztuka nie wyklucza narodowości, narodowość sztuki. Teza ta jest tylko postulatem, gdyż u starożytnych Żydów idea narodowa w połączeniu z religijną występowała przeciw sztuce plastycznej wrogo, a w starożytnym Rzymie idea narodowa w połączeniu z rodową nie dała się rozwinąć dramatowi (E. Renan, H. M. Possnet). Następnie każdy się na to zgodzi, że zarówno w dziedzinie sztuki, jak i w dziedzinie narodowości następują fazy ewolucyi, pojawiają się umysły reformatorskie, następują ostre starcia. Idea narodowa może w danym momencie dziejowym być żywotniejszą, niż sztuka, tak samo w pewnym okresie mogą artyści daleko naprzód wybiegać po za wyobrażenia i pojęcia swego narodu. Wreszcie i na to zgodzi się każdy, że sztuka obejmuje tak ogromną sferę działania, iż nieraz byłoby trudno wykryć jakiś łącznik. Jaki np. stosunek może istnieć pomiędzy pieśnią miłosną a ideą zjednoczenia Niemiec? Jaki stosunek może zachodzić pomiędzy gotycką polichromią a walkami cesarzów niemieckich z papieżami? Jaki stosunek może zachodzić pomiędzy japońską ryciną, przedstawiającą rybę a japońskiemi reformami kulturalnemi? Tu najpoważniej i najgruntowniej myślący człowiek związku nie odnajdzie. Ale tą sztuką może naród żyć, może się nią cieszyć, bo ona jest jego estetycznym dorobkiem. Pan Szpadkowski szuka jednak związku pomiędzy ideą narodową i sztuką. Przytacza nam wiele pięknych zdań. „Sztuka jest karmicielką narodów“ — woła z Leonardem da Vinci. „Sztuka jest narodowej chwały wargą“ — mówi z Kochanowskim. Ale przejść nareszcie trzeba do definicyi. Niestety, p. Szpadkowski nie podaje nam definicyi idei narodowej. Podaje natomiast definicyę sztuki. „Oto sztuka jest najprawowitszem dziecięciem idei narodowej.“ To ma być definicya? To jest dopiero aforyzm! To jest piękny, bardzo piękny aforyzm, ale przecież to nie jest absolutnie żadna definicya! A trzeba ją było dać, skoro istnieje spór, skoro dla wielu „poważnie i gruntownie myślących ludzi“ sam tytuł „Sztuka i narodowość“ jest dopiero bardzo poważnem zapytaniem a nie odpowiedzią. Jeżeli zaś dla „niektórych“ osób, poważnie i gruntownie myślących, rzecz jest bardzo jasna, to chyba nie sprawi im to żadnej trudności dać nareszcie tę definicyę tym, którzy na nią czekają. I to trzeba dać, skoro się dyskutuje, orzeczenie, co to jest idea narodowa i orzeczenie, co to jest sztuka. Inaczej będziemy tylko walczyli ze sobą o lepsze i piękniejsze aforyzmy, ale sprawa ani o krok nie postąpi. Żeby zaś uprzytomnić p. Szpadkowskiemu, jak fatalne omyłki w tym zakresie popełniano, przypomnimy mu, co z pewnością bardzo dobrze pamięta, że kiedyś „Maryę“ Malczewskiego Warszawa poprostu wyśmiała; dopiero wytłomaczył ją naszej społeczności Maurycy Mochnacki i wtedy uznano ją za poemat narodowy; więc nie była tu winna sztuka, nie była tu winna idea narodowa, ale niezrozumienie dzieła, niepoznanie się na niem. Inny fakt. W r. 1835 Seweryn Goszczyński wystąpił niesłychanie energicznie przeciw Fredrze, zarzucając mu kosmopolityzm i brak patryotyzmu, co tak Fredrę zniechęciło, że cisnął pióro i przez dwanaście lat nic nie pisał. A tymczasem Fredro został potem jednogłośnie uznany za ojca komedyi „polskiej.“ W Rapperswylu przejrzeć można liczne artykuły, które biadały, że Mickiewicz w „Panu Tadeuszu“ powprowadzał jakieś zaściankowe figurki a nie wielkich bohaterów narodowych. Tymczasem później uznano „Pana Tadeusza“ jednogłośnie i w całości za epopeję narodową. Malarze krakowscy, którzy nie chcieli malować historycznych obrazów wzorem Matejki, zostali uznani za przeciwników idei narodowej, kiedy równocześnie krytyka wiedeńska piała hymny na cześć ich „polskiej odrębności,“ czemu dziś nawet u nas nikt nie zaprzeczy, kto się choć trochę zna na sztuce i spojrzy na taką „Kłótnię Huculów.“ Łatwo mówić młodym: „Patrzcie, jak wielkim jest Michał Anioł, jak wielkim jest Mickiewicz,“ kiedy każdy z nich ma dziś po kilkanaście pomników. Dajcie nam tedy miarę, którą moglibyśmy przystosować do dnia dzisiejszego, do dzieł i zdarzeń nowych! Kiedyś i na „Sonety krymskie“ biadano. Nam zdaje się, iż zapanowała poprostu moda nazywać każde dzieło, którego się nie rozumie, dziełem nienarodowem. I wydaje się nam, że jest to sprawa zrozumienia dzieła a nie narodowości. I zdaje się nam także, iż słuszność miał Wyspiański, gdy twierdził, że się często robi z narodowości jakąś klatkę, która lot najśmielszych ptaków więzi. Dalibóg, nie winna tu narodowość, winni są fabrykanci owych klatek. A jeżeli sztuka jest, jak kończy pięknie p. Szpadkowski, „Królem-Duchem“ narodu, to my jesteśmy często owemi zaślepionemi córkami, które go z własnej jego krainy na tułactwo po obczyźnie wyganiają...

Muzeum Mickiewicza.

Stała się rzecz sercu polskiemu bardzo miła, bo oto po długiem oczekiwaniu otworzono Muzeum Mickiewicza. Wszystkie narody czczą swych wielkich i nieśmiertelnych mistrzów, przechowując drogie po nich pamiątki; dobrze więc i pięknie się stało, że syn Adama, Władysław, nagromadziwszy po swym wielkim ojcu sporo cennych przedmiotów, postanowił oddać je na użytek ogółu. Szkoda tylko, że ogół ten nie będzie mógł z nich korzystać, albowiem zaledwie maleńka jego cząsteczka odwiedza Paryż. Zdawałoby się, że najodpowiedniejszem miejscem dla takich zbiorów był Kraków, gdzie już dawniej otworzono małe, skromne, lecz ciekawe muzeum pamiątek po Adamie Mickiewiczu. Tu byłoby najwłaściwiej im się znaleźć, w starym skarbcu naszej narodowej przeszłości, grodzie wawelskim.

Z ruchu spółdzielczego.

Tak w Warszawie jak na prowincyi w ostatnich dniach mieliśmy cały szereg dorocznych zebrań różnych stowarzyszeń spożywczych; osiągnięte w ciągu roku wyniki okazały się przeważnie ujemne. Jedynie towarzystwo urzędników kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, może wykazać piękne rezultaty swego rozwoju. Wszystkie inne kooperatywy spożywcze kuleją nieu-

stannie i narzekają na niekorzystny stan interesów.

W czem tkwi przyczyna tego ujemnego zjawiska? Naprzód niewątpliwie w braku wyrobienia się w kierunku życia spółdzielczego, o które przy naszym wybujałym indywidualizmie niezmiernie trudno. Ale ponieważ przy dobrych chęciach wszystkiego nauczyć się można, przeto i my potrafilibyśmy stać się może kooperatorami w całem tego słowa znaczeniu.

Zdaje się atoli, że jest jeszcze inna bardzo ważna przyczyna tego względnego niepowodzenia naszych kooperatyw spożywczych. Instytucye te mają na celu przedewszystkiem oszczędność i najwięcej dobrego przynoszą tym klasom społecznym, które najbardziej oszczędności potrzebują. Wszędzie na zachodzie Europy szeregi kooperatorów rekrutują się z robotników fabrycznych i ludzi wogóle biednych, dla których oszczędność kopiejkowa stanowi ważną rubrykę w budżecie domowym. Tymczasem u nas do tej pory stowarzyszenia spożywcze zakładają i prowadzą ludzie z klasy majątkowo znośnie lub dobrze stojącej, dla której więc oszczędności kopiejkowe nie mają prawie żadnego znaczenia. I zdaje się, że dopóty nasze kooperatywy spożywcze będą źle stać, dopóki tak jak na całym świecie nie zostaną do nich wciągnięte warstwy najuboższe, które ich znaczenie ekonomiczne najlepiej ocenić zdołają.

BADANIA NAUKOWE.

Źródło zakazów małżeńskich.

HYPOTEZA.

—

III.

Zastanawiając się obecnie nad zastosowaniem zasady solidarności wewnętrznej rodu do wykluczenia małżeństw w liniach bocznych, albo raczej do wykluczenia małżeństw między krewniakami czy współrodowcami wogóle, musimy przedewszystkiem zauważyć, że w tej formie, jaką dał sam Kowalewskij, nie wytrzymuje ono krytyki. I ta ostatnia hypoteza co do początku egzogamii i zakazów małżeńskich musi być odrzucona!

Przedewszystkiem trzeba się załatwić z czynnikiem dodatkowym, wprowadzonym przez Kowalewskiego: dążeniem gromady do powiększania liczby swych członków. Można je istotnie uznać— ale dopiero dla plemion wyżej rozwiniętych, oddających się systematycznemu rolnictwu, przy którem zrzeszenie większej liczby pracujących daje wzrastające korzyści, albo posiadających liczne stada, dzięki którym o żywność troszczyć się nie trzeba, a wzrost ludności oznacza wzrost siły wojennej. Dla tych też późniejszych form gospodarczych uwzględnia ten czynnik i Grosse: rody matryarchalne, rolnicze przyciągały do siebie mężów swych kobiet, a swoich mężczyzn starały się oddawać innym rodom, o ile możności, przynajmniej nie na stałe. Ale to jest czynnik znacznie późniejszy, który zresztą nie mógł w żaden sposób wywołać egzogamii, lecz tylko sprzyjać jej zachowaniu. Co do hord pierwotnych—a o nie tu idzie—to nie wiadomo, skąd Kowalewskij wziął przypuszczenie, że dla nich powiększenie liczby członków jest pożądane? Wszak one nie mogą wyżyć, nie umiejąc produkować, nie mając należytej broni myśliwskiej ani narzędzi rybackich! Australskie hordy dzikich, posiadające już wyraźne zakazy małżeńskie, często nie są liczniejsze nad kilkadziesiąt osób. Plemiona pierwotne, którym brakuje środków do życia, praktykują dzieciobójstwo i starcobójstwo! To też zdaje mi się, że oparte na tym samym czynniku wytłomaczenie niestosowania kary śmierci do występnych rodowców jest mylne, a przynajmniej stanowczo zbyt ogólne; trzeba je raczej położyć na karb tego, że ludzi, wykraczających przeciw najbardziej zasadniczym nakazom społecznym: morderców współbraci, również naruszających tabu i kazirodców, dzicy pozostawiają zemście bogów — jak bywało jeszcze w pierwotnym Rzymie.

Co do głównego czynnika — wykluczenia indywidualnego przywłaszczania kobiet w celu zapobieżenia niezgodom — to Kowalewskij wypowiada się niezupełnie jasno. Raz stosuje to do „kobiet, będących członkami tej samej rodziny,“ mówi o „zakazie żenienia się z kobietami swego własnego klanu“ — kiedyindziej o „wspólnem posiadaniu kobiet i zakazie ich indywidualnego przywłaszczania *w łonie tej samej gromady*“: — co przecie mogłoby znaczyć, że członkowie jednej i tej samej gromady nie mieli prawa posiadania na własność prywatną żadnych kobiet wogóle — tak należących z urodzenia do gromady, jak włączonych do niej później. Bo też istotnie, zupełnie niewiadomo, dlaczego ten środek pokojowy miałby się stosować tylko do kobiet obcych? Czy szan. profesor przypuszcza, że o kobiety obce, porwane innym gromadom, członkowie gromady mniejby się kłócili i bili, niż np. o upolowaną zwierzynę? Czy może, powtarzając nieświadomie myśl Lubbocka, sądzi, że sam fakt zdobycia mógł dawać prawo do indywidualnego posiadania? Lecz temu przeczy szereg przeżytków; zresztą, sam autor stwierdza, że ludzie pierwotni byli za słabi, aby polować na własną rękę — a więc porwania i wojny z innemi gromadami musieli toczyć wspólnie, a wspólny wysiłek w owych czasach pociągał za sobą wspólną własność: wreszcie gdzieindziej [1]) sam określił ród pierwotny, jako grupę ludzi, „zawierających związki podług zasad zewnętrznożeństwa przy wspólnem posiadaniu małżonek.“ Jeśli zaś kobiety obce musiały być wspólną własnością, żeby w gromadzie panował spokój — to przecie ten sam cel mogła ona osiągnąć przez ustanowienie wspólnej własności kobiet rodowych! Więc gdzież pobudka do egzogamii? Widzimy źródło pierwotnej wspólności wszystkich kobiet, lecz nie — pierwotnych zakazów posiadania pewnych kobiet!

Jednakowoż zasada podstawowa, postawiona przez Kowalewskiego, wyda pożądany, jak sądzimy, rezultat: trzeba ją tylko inaczej zastosować. Trzeba zwrócić uwagę na tę myśl, że stado ludzkie pierwotne musiało unikać, jak ognia, pod grozą utraty drogich sił, potrzebnych do walki na zewnątrz, wszelkiego *przelewu krwi* w swem łonie (str. 85). Trzeba uniknąć błędu, wspólnego jeszcze Kowalewskiemu z wieloma innymi twórcami hypotez o egzogamii: że traktują kobiety wyłącznie jako bierny przedmiot akcyi, że nie rozważają specyalnego stosunku symbiozy, wspólnej troski o byt, jaki musiał łączyć mężczyzn i kobiety jednej i tej samej hordy pierwotnej: — dlatego nie mogą odkryć różnicy specyficznej między kobietą z tej samej hordy a obcą [2]).

Wmyśl powyższych uwag, stawiam hypotezę następującą:

„Miłość“ pierwotna nie jest wcale podobna do tego, co w naszych pojęciach z tym wyrazem się łączy. Jeśli jeszcze w poezyi greckiej mowa jest wciąż o kobietach „ujarzmionych,“ albo poprostu — „zgwałconych“ gdzieś w lesie czy nad wodą przez bogów, jeśli *parthenos admes* — dziewica nieujarzmiona — znaczy w tym języku tyleż, co niezamężna, to czemże była dla kobiety pierwotnej „miłość“ pierwotnego mężczyzny? Niczem innem, jak niespodzianym napadem, bolesnym gwałtem, zadanym po silnym oporze i krwawej często walce. Bezpośrednio świadczą o tem jeszcze owe wyżej wymienione ceremonie przedślubne Australczyków, polegające na nieoczekiwanym, brutalnym napadzie przyjaciół przyszłego męża na dziewczynę. Podobnie jak samice w świecie zwierzęcym, kobieta odpychała napastnika, a należąc do rodzaju wyżej rozwiniętego umysłowo, nienawidziła go — choć się go bała.

Przenieśmy się teraz myślą do hordy pierwotnej, poprzedzającej nawet stan dzisiejszych Buszmenów i Australczyków. Zyje ona, jak mówi Lippert, w stanie pierwszego „matryarchatu,“ czyli że dzieci skupiają się naturalnie około matki, która z początku długo je karmi piersią, a potem, jako doświadczona, pomaga szukać korzeni, owoców, ślimaków i chronić się przed niebezpieczeństwami. W hordzie tej musimy przypuścić brak wszelkich ograniczeń stosunków płciowych oraz „endogamię“ — co za przedwczesny wyraz! — obok sporadycznej „egzogamii“: łatwiej wszak mężczyznom zwyciężać kobiety blizkie, niż dalekie, z innych hord. W hordzie wybuchają często bójki: między wszystkimi—o żywność, między mężczyznami a kobietami — o „miłość,“ między mężczyznami starszymi a młodszymi — o kobiety, o żywność, o życie samo. Matka krótko ma przewagę siły nad dziećmi; te często — szczególniej mężczyźni, nieobciążeni dziećmi— oddalają się od hordy, żyją na własną rękę. Wiele takich hord musiało wyginąć, niedobitki może przyłączały się do innych. Niektórym jednak szczęśliwsze warunki pozwalały rozrastać się, kilka pokoleń skupiało się około jednej matki, a i po jej śmierci pozostawało razem. Wolno przypuścić, że w łonie takiej większej hordy jednostki grupowały się naturalnie przy swych matkach, zarysowywało się kilka rodów macierzystych. Dzieci jednej matki, przez nią karmione, wychowywane, otaczane jedną opieką, i z kolei ich dzieci, czuć musiały przecież do siebie wzajemną sympatyę większą, niż do innych członków hordy, i pod przewodnictwem matki pomagać sobie nawzajem w walkach z innymi. Brat przyzwyczajał się bronić siostry od wszelkiej napaści — napaść miłosna nie różniła się od innego zadawania ciosów i ran — a więc i sam na nią nie napadał, tembardziej, że matka od pierwszych objawów namiętności musiała strzedz córki przed synem, starała się wpoić w nich instynkt pomagania sobie, a nie krzywdzenia się. Z biegiem czasu wsiąkło w umysły to przekonanie, że wzajemna pomoc w walce z wrogami i stosunki płciowe wykluczają się nawzajem. Jeśli cała horda miała do czynienia z innemi wrogiemi hordami, to mogło się to przekonanie rozszerzyć na całą hordę, tembardziej, że bój, stoczony z obcymi mężczyznami i kobietami, dawał sposobność zaspokojenia popędu miłosnego, zbliżonego wówczas wogóle do popędów krwiożerczych. W przeciwnym razie— horda po pewnym czasie, zbyt liczna, rozpaść się musiała — i rozpadała się naturalnie na rody macierzyste. Rody te miały już instynkt egzogamiczny, który utwierdzał się teraz jako absolutny zakaz; rozstanie się ich nie musiało być bardzo pokojowem, gdyż każdy chciał się zapewne utrzymać przy najlepiej znanych i najlepszych źródłach pokarmu i schroniskach; napady miłosne urządzali więc mężczyźni każdego rodu na kobiety innych rodów, nie troszcząc się wcale o ich następstwa— potomstwo, które naturalnie zostawało w rodzie matki.

[1]) „Zarys początków i rozwoju rodziny i własności,“ str. 29.

[2]) Albo w najlepszym razie — jak Durkheim — odkrywają różnicę fantastyczną.

W czasach owych kobieta mogła walczyć z mężczyzną albo być mu pożądaną towarzyszką walki, nie była wiele słabsza od niego; za tem przemawia analogia świata zwierzęcego. Sposób życia mężczyzny i kobiety, zdobywania pokarmu, całej troski o byt, był jednakowy; dziecko nawet, przywiązywane, niewiele przeszkadzało kobiecie. Dopiero wynalazek broni myśliwskiej z jednej, ognia z drugiej strony, zmienił to: mężczyzna, uganiający się za zwierzyną, stał się o wiele silniejszym od kobiety, siedzącej przy ogniu i dzieciach, wygrzebującej korzenie, szukającej w pobliżu owoców i robaków. Jednocześnie mężczyźni, mając możność żywienia kobiet, mogli zaspokoić rosnące wraz z możnością pragnienie posiadania kobiet na stałe: nie sióstr, które pod tym względem nabyły przez długi przeciąg czasu absolutnej nietykalności, lecz kobiet obcych. Potrzeba wzmogła się jeszcze z wynalazkiem przenośnego szałasu, który włożono na barki zdobytej niewolnicy. Te niewolnice zdobywała pierwotna gromada mężczyzn i posiadała wspólnie: pod gromadą należy tu rozumieć członków rodu pierwotnego — kilkunastu, czasem kilku tylko nawet dorosłych braci z ojcem na czele. Niektóre hordy po pewnym czasie doszły do zastąpienia ciągłych walk krwawych o swoje kobiety — umowami małżeńskiemi. Bracia oddawali zatem siostry swe w niewolę — choć czasami nieco złagodzoną — obcym; dziwić nas to nie powinno, gdyż siostry wskutek powyższych zmian ekonomicznych, fizycznych, psychologicznych — straciły dla nich znacznie na wartości. Zjawiają się jednak czasem przy podobnych małżeństwach zastrzeżenia w duchu obrony kobiety przed mężem przez jej ród.

Środek ciężkości życia przeniósł się na mężczyzn; kobiety z obcych rodów żyły z nimi, u nich, przy nich. Już nie bracia i siostry, lecz mężowie i żony, z czasem podzieleni parami, stanowili wspólnotę życiową, plemię czy osadę. Mamy tedy stosunki australskie! Kobieta wraz ze swemi dziećmi — często wcale niepożądanemi — podwładna mężczyźnie, obca mu rodem, uważana i traktowana jako obca. Z nią łączy mężczyznę podział pracy, lecz nie łączy taka solidarność walki i troski o byt, jak dawniej braci z siostrami pod opieką i wodzą matek; mężczyzna jest o tyle silniejszy i lepiej uzbrojony od kobiety, że ani nie potrzebuje jej pomocy przeciw wrogom, ani się jej nie obawia. Może ją bić, zabić i — „kochać“: wspólność życiowa tu już nie mogła i nie potrzebowała wytwarzać zakazu płciowego. Zresztą, długotrwały i trudny okres poprzedni pozostawił po sobie tak zakorzenioną instytucyę rodu macierzystego, że w tym australskim ustroju, gdzie mężczyzna jest panem i ośrodkiem życia, przynależność do rodu macierzystego, nie tworzącego już wspólnoty życiowej, poznawalna jednak dzięki totemowi, powstałemu również w okresie poprzednim, jest podstawą zakazu płciowego a zarazem obowiązku wzajemnej obrony i zemsty oraz zakazów wojowania ze sobą! Długo jeszcze potężny węzeł solidarności zemsty wiąże tych, i tylko tych, którzy nie żenią się między sobą, mianowicie, krewnych po matce — nawet wśród czystego patryarchalizmu: przykładem uderzającym — biblijny Gedeon, który mści się na Zebeem i Salmanie za pobicie braci jego — dodaje zaraz: „synów matki mojej“ — choć sam nosi przydomek patronymiczny: syn Joasów, i ma potem siedemdziesiąt żon [1]). Później u większości ludów pasterskich zmieniło się to; solidarność zemsty przeszła na ród ojcowski, a wraz z nią i nakaz egzogamii!—Żona długo jest obcą; narzeczony — w pieśniach ludowych nazywany wrogiem; stosunek zaś między bratem a siostrą uważany za najbliższy, najświętszy. Sprzyjało temu wysunięcie się rolnictwa na pierwszy plan życia ekonomicznego, ponieważ u wielu ludów zamieniło on egzogamiczny ród macierzysty znowu na wspólnotę życiową.

[1]) Sędziów VIII, 19, 13, 30.

Jeszcze dwie uwagi.

Tak powstający zakaz małżeństwa obejmował mężczyzn i kobiety hordy-rodu wszystkich pokoleń, bez różnicy wieku. Specyalne zakazy między - pokoleniowe wyodrębniły się, być może, dopiero później, kiedy toczyła się walka między starszymi i młodszymi o kobiety obce rodem, i kiedy dzieci, innego rodu jak ojciec, żyły z nim razem i pod jego władzą? Nic, zdaje się wbrew utartemu mniemaniu, nie przemawia za tem, żeby zakazy w prostej linii były wcześniejsze od zakazów w bocznych liniach, albo raczej — ogólnych; można co najwyżej tylko przypuszczać, że matka w pierwotnej hordzie umiała uczynić się nietykalną dla syna.

Endogamia wreszcie, która zostawiła w różnych miejscach ślady mniej lub więcej świeże, powinnaby być rozpatrywana w dwóch odrębnych wypadkach: po pierwsze, jako stan całkiem pierwotny, poprzedzający egzogamię, który zresztą mógł się gdzieniegdzie utrzymać przy wyjątkowych warunkach, jeśli np. jakaś horda żyła w zupełnem odosobnieniu od innych i, mając względnie dość środków utrzymania, mogła rozrastać się w plemię, nie dzieląc się silnie i nie mając powodów do ostrych zatargów wewnętrznych. Powtóre, endogamia może powrócić po okresie egzogamii i na jej miejsce — tam, gdzie odpadają zupełnie przyczyny tej ostatniej, a więc nie u ogółu każdego ludu, ale u rodów najpotężniejszych i najbogatszych, które nie chcą oddawać swych członków innym rodom wraz z częścią bogactw, albo są na to zbyt dumne. Wtedy to „siostra“ — powiedzmy ogólniej: blizka krewna — staje się znów żoną:—„psy i znamienite rodziny nie znają pokrewieństwa“ — jak podobno mówi przysłowie Kałmuków.

Zresztą, wtedy już, przy wyższej kulturze, małżeństwo traci stopniowo swą brutalność, mąż i żona przestają być wrogami. Z czasem nawet staje się ono w pojęciu ludzkiem, z przeszkody, jaką było,—środkiem stworzenia solidarności życiowej. Jakże to ładnie mówi prawo kanoniczne? „Consanguinitas dum se paulatim propaginum ordinibus dirimens usque ad ultimum gradum subtraxerit et *propinbuitasesse desierit*, eam rursus lex matrimonii vinculo repetit et *quodammodo revocat fugientem*“ [1]). Zakaz małżeństwa przed dojściem do tego najdalszego stopnia pokrewieństwa uzasadnia się więc tem, że krewni i tak są życiowo solidarni, więc małżeństwo między niemi byłoby zmarnowaniem tak drogocennego i skutecznego środka bratania ludzi! Że dalej kanonista oznaczenie na sześć ilości stopni, kończących pokrewieństwo, uzasadnia ukończeniem stworzenia świata w ciągu 6 dni, to nas już mało obchodzi. Wspomnieliśmy o tem tylko, aby pokazać, jak zanikła świadomość źródła pierwotnego zakazu małżeństw krewniaczych i czem je potem zastąpiono. Po „uciekającej blizkości“ i stworzeniu świata przyszedł — dobór naturalny...

To, co napisaliśmy, jest oczywiście tylko hypotezą — jak i wszystkie inne próby tłomaczenia egzogamii i zakazów małżeńskich, ale, jak sądzimy, hypotezą, odpowiadającą wymaganiom nauki, bo tłomaczącą w naturalny sposób, bez sprzeczności, cały szereg zjawisk, instytucyj i przeżytków, które bez niej są niezrozumiałe, a zarazem — rzucającą światło na jeden z ważniejszych czynników psychologicznych życia miłosnego:—wrogość płci...

[1]) Ze św. Augustyna przeniesione do „Dekretu Gracyana,“ c. un. C. 35 q. 4. —„Gdy pokrewieństwo w miarę posuwania się po stopniach zmniejsza się i doszedłszy do ostatniego stopnia już ma przestać być *bliskościa* (życiową), prawo małżeństwa chwyta je nanowo swym węzłem i niejako przywołuje nazad, żeby nie uciekło.“

Jeśli hypoteza ta wytrzyma krytykę, to zatryumfuje raz jeszcze zasada teoretyczno-metodologiczna, że życie trzeba tłomaczyć zawsze podstawami życia!

Dr. Kazimierz Krauz.

NOTATKI NAUKOWE.

— Głośny ekonomista, Werner Sombart, wydał dzieło p. t. „Die deutsche Volkswirthschaft im XIX Jahrhundert“ (Berlin, str. 547), w którem obok przejrzystego i wyczerpującego przedstawienia faktów złożył wiele myśli oryginalnych i głębokich. Według niego, Niemcy, którzy w przeszłym wieku podnieśli swój przemysł prawie do wyżyny angielskiego, posiadają wybitny „talent do kapitalizmu,“ będącego dziś najbardziej skończonym typem organizacyi gospodarczej. Ten talent opiera się na braku uzdolnień zmysłowo-artystycznych, właściwych narodom romańskim. Niemiec jest etykiem, ale nie jest estetą. Pod pięknem niebem Italii lub Francyi można zapominać o obowiązkach, czyli — jak mówiła pani Girardin— „on a toujour mieux à faire que son devoir.“ Natomiast „u nas hyperboreów — powiada Sombart — gdzie przez większą część roku tłuką się mgły i deszcz pada, gdy jest ciepło, a gdy nie pada — zimno, w takim kraju nie można robić nic lepszego, niż spełniać swoją powinność.“ A to poczucie obowiązku, ta skłonność do pracy i poważnego myślenia sprzyja wielce rozwojowi kapitalizmu. „Jeśli można rzec słusznie, że jesteśmy urodzonymi urzędnikami (a ludzie są albo urzędnikami albo artystami), to takie określenie nabiera jeszcze głębszego znaczenia, gdy uwzględnimy również inną cechę naszego charakteru narodowego, mianowicie nasz talent do ucząstkowiania się.“ Niemcy mają nietylko doskonałych specyalistów — ale umieją wprawiać się jako kółka w maszyny życia społecznego, co znakomicie przyczynia się do prawidłowego działania owych olbrzymich warsztatów, które wytwarzają przemysł nowoczesny. Wielką także dźwignią w tym ruchu ekonomicznym są rozmaite domieszki etnologiczne w szczepie germańskim — naprzód romańskie, a następnie bardzo wpływowa żydowska. „A chociażbyśmy w ocenianiu tego wpływu nie posuwali się tak daleko, jak największy Żyd XIX wieku, K. Marx, który mniemał, że „praktyczny duch żydowski stał się praktycznym duchem ludów chrześciańskich,“ że „Żydzi o tyle się wyzwolili, o ile chrześcianie stali się żydami,“ że nowożytne, kapitalistyczne i żydowskie gospodarstwa są pojęciami identycznemi, to jednakże przyznać trzeba, że nasze obecne życie ekonomiczne byłoby niemożliwe bez udziału Żydów.“ Zdaniem wszakże Sombarta, proces się odwraca: podczas gdy brak zmysłowo-estetycznej kultury sprzyja kapitalizmowi, kapitalizm znowu sprzyja powstaniu zmysłowo-artystycznej kultury.

Cała książka błyszczy świetnemi spostrzeżeniami, które często zatrącają o paradoks, ale pobudzają do myślenia.

LITERATURA I SZTUKA.

Sylwetka z przeszłości.

Jeden z krytyków rzucił niedawno temu pytanie: czy Ibsen był kiedyś... młodym?

W pytaniu tem tkwi sporo naiwności, ale też i słuszności. Dla nas, którzyśmy

się wychowali wiele lat po napisaniu „Budowniczego Solnessa“ i „Upiorów,“ Ibsen ma jedną twarz tylko. Widzieliśmy ją przecież nieraz. Starzec siwobrody, patrzący na świat przez szkła, dumnie, wyzywająco niemal spoglądający na tę trzodę ludzką, którą tylekroć do krwi wysmagał... bezskutecznie.

Wobec tego: byłże kiedyś Ibsen „młodym“? Znaliśmy go przecież tylko z lat późniejszych, z dzieło wyraźnem piętnie „dojrzałości.“ Wiedzieliśmy doskonale o wielkiem zagadnieniu jego życia, o tej idei „zrewolucyonizowania ducha ludzkiego“, o jego potężnym talencie niszczenia istniejących gmachów, o bezlitosnem zdzieraniu maski obłudy i faryzeuszostwa z oblicza społeczeństwa „kulturalnego.“

Ale nie wiedzieliśmy nic prawie, w jaki sposób Ibsen do tego doszedł, w jakich formach, na jakich drożynach i stacyach dusza jego „dojrzewała;“ nic znaliśmy rozwoju jego talentu, jego młodości, wpływów nań działających, jego nadziei i zawodów, tych faz rozlicznych, wśród których twórczość jego się ukrzepiała, aż rozbłysła światłem silnem, a nieodmiennem.

Cały ten rozrost ducha Ibsena zawarty jest nie w dramatach, lecz w pierwocinach jego literackich — poematach lirycznych. Z dramatów wysnuć możemy, *o co* właściwie Ibsenowi chodzi, *tendencyę* jego działalności — z poematów wyziera *droga*, którą duch jego przebył, zanim się umocnił, ujednostajnił i do walki życiowej przysposobił.

A droga to kręta. Jakżeż różni się jej zaczątek od ujścia. Jakżeż odmiennym jest Ibsen w poemacie p. t. „Rezygnacya,“ napisanym w roku 1847 i w dramacie „Kiedy zmartwychpowstaniem,“ stworzonym w pięćdziesiąt kilka lat potem! A jak wielki rozdźwięk panuje między romantyzmem jego pierwszych wylewów lirycznych, a realizmem późniejszych wiwisekcyj społecznych! Jakaż przepaść leży między snami jego młodości, zapałem i entuzyastycznem przejęciem się, a pesymistycznem *lasciate ogni speranza* lat późniejszych! Jak stanowcza różnicza między pierwotnym jego instyktem wspólnoty. a późniejszą negacyą wszelkiej łączności, poczuciem szczęścia w samotności!

Różnice mnożą się. A wraz z niemi rysuje się druga, nieznana prawie dotychczas twarz Henryka Ibsena. Utrwalony dotąd wizerunek jego duchowy rozpada się. Ibsen, twórca „Dzikiej kaczki“ i „Upiorów“ a Ibsen, autor szeregu poematów, powstałych między r. 1850—1875 nie odpowiadają sobie ani co do intensywności pobudek i motywów psychicznych, ani co do ich jakości.

Na smutną nutę nastrojone są zaczątki poezyi Ibsena. Ton w nich panujący znamionuje głębokie rozterki, szamotania się i starcia, odbywające się w duszy poety. Wciąż powtarza się tu jeden symbol: morze. Fale morskie uderzają o strome brzegi, lecz nie sięgnąwszy wirchów, rozpryskują się i zatapiają w bezmiernem morzu...

A z tych bezkresów wyłania się już myśl, przerażająca młodą duszę: co się znajduje *pod* tem wzburzonemi falami, co *na dnie* niezmierzonych oceanów te fale pędzi? W duszy Ibsena kiełkować poczynają te same porosty, które kiedyś potem rozrósłszy się i rozkołyszawszy, szumieć będą nad problematami i dociekaniami ogólno-ludzkiego znaczenia. Co się znajduje pod wzburzonemi falami? co na dnie głębin morskich? — brzmi refren, konsekwentnie nawiedzający umysł młodego poety, nieumiejącego podówczas nic więcej odpowiedzieć nad zdanie: „Tak, tam jest wspaniale, tam mógłbym *zapomnieć*....“ W tem zdaniu maluje się wyraziście nastrój ówczesny Ibsena. Zapomnieć... oto jego tęsknota — zrzucić z siebie ciężkie brzemię myśli, toczących zawzięte boje. Dusza jego poszarpana nadmiarem w niej nagromadzonych sprzeczności, tęskni za uspokojeniem. Wszędzie, gdzie tylko krokiem ruszy, ciągną za nim niepokojące mary. Poezya Ibsena z tych czasów jest też wiernem odbiciem wędrówki poety po przyrodzie, na której łonie chroni się przed pościgiem trapiących go niepokojów.

Jedyną ostoją przed marami —noc... Ona też jest pocieszycielką Ibsena w każdej ciężkiej chwili. W mrokach nocy budzi się w nim siła, znikają koboldy i strzygi, tłumi się namiętna walka sprzeczności. W ciemnościach nocy wreszcie, w jej samotności, dusza ludzka opuszcza swe legowisko, budzi się z uśpienia...

Stąd to wytwarza się w Ibsenie coraz silniej przeświadczenie, że życie za dnia, na jawie, w tak zwanem towarzystwie, między ludźmi, w kleszczach obowiązków i konwenansów — jest zupełnie nieszczerem, jest stekiem kłamstw, jest takim samym stosunkiem, jak między proszonym na bal gościem a komitetem zabawy. Życie— to bal, określa Ibsen:

> Ach, wir sind entweder Gäste
> Die man lud zum Lebensfeste,
> Oder ausgeschlossen stehen,
> Schauernd vor des Nachtwinds Treiben,
> Auf der Strasse wir und sehn
> Aufwärts nach den hellen Scheiben.

(Jesteśmy albo gośćmi proszonymi na bal życia, albo samotnikami, stojącymi w noc wietrzną na ulicy i spoglądającymi na jasne szyby okien).

Ibsen wybrał to drugie. Nie chciał być gościem na balu życia — stał się samotnikiem, wsłuchującym się o ciemnej nocy w harce wiatru.

Powoli zrywał więc więzy z otoczeniem, zatracał poczucie łączności ze społeczeństwem, wyodrębniał się.

Czując się coraz bardziej samotnym, szukał oparcia w przeszłości ojczystego kraju z jednej strony, a w niezmierzonych dalach z drugiej. Zdawał się nie dostrzegać tego, co się w pobliżu znajdowało, badał natomiast i wczuwał się w zamierzchłą przeszłość, lub myśli swe, gdyby lotne ptaki wysyłał hen, gdzieś w zaświaty. Tak powstały szeregi utworów poetycznych Ibsena, mających za przedmiot mity staroskandynawskie, wskrzeszające postacie zapomniane, postępami czasu w mroki usunięte. Opisywał więc uroczystości starodawne, powoływał do życia spiżowych rycerzy, stwarzał ballady na tle wydarzeń przejętych z tradycyi narodu. A kiedy duszę swoją wysyłał na wywiady w dale niezmierzone, wówczas obierał jako symbol mewę lub łabędzia. Opadały trapiące mary, rzeczywistość przygasała, nikła—a poeta, jakby wyzwolony, ulatywał w sfery podniebne, niezmącone...

Niewiele jednakowoż w poezyi Ibsena takich wzlotów. Przyrodzony pociąg krytyczny więził myśl jego i wskazywał przedmioty bliżej leżące.

Wtem zaszedł fakt, decydujący o przyszłości Ibsena. Wybuchła wojna duńsko-niemiecka. Ibsen był zapalonym stronnikiem jedności krajów skandynawskich. Całą duszą usiłował skłonić ziomków do udzielenia pomocy Danii w wojnie z Prusami. Marzył wówczas o mocarstwowem znaczeniu nowoczesnej Skandynawii, o upokorzeniu Prus i wskrzeszeniu dawnej świetności zjednoczonych państw Północy. Marzenia jego się rozwiały... Szwecya i Norwegia pozostawiły Danię jej losowi. Ibsena przejął wstręt do współbraci. Znienawidzony opuścił ojczyznę, by przez szereg lat tułać się po Europie środkowej i południowej.

Pierwsze lata dobrowolnego wygnania wyzyskał w ten sposób, że przyswoił sobie najświeższe zdobycze sztuki i literatury współczesnej. I zaznajomiwszy się z nią zaledwie, zaczął z niej szydzić. Dla niego sztuka nie jest świętością, której w ofierze nieść trzeba kąski najwyborowsze.

> Die Kunst hat einen Straussenmagen,
> Der alles, selbst Granit und Stahl verdaut;
> Sie wird, wenn du sie nährst, dein Sauerkraut,
> So gut, Paradiesfrucht vertragen.

(Sztuka ma żołądek strusi, trawiący nawet kamienie i żelazo. Zniesie ona tak samo kapustę, jak owoce rajskie).

O ile według słów Ibsena wszystko jest odpowiedniem do wcielenia w dzieło sztuki, o tyle z drugiej strony nie każdy dostać się może do tajników samej twórczości. O samym sobie dość powątpiewająco sądził w tym względzie. Znał dobrze wartość swą, przeczuwał w sobie skarby, które potem przetopić miał w arcydzieła — wątpił tylko, czy mu się uda wcielić w ramy odpowiednie to, co w duszy swej ukrywał:

> Gott weiss, meine Seele schuf Bilder genug,
> Manch Kunstwerk—im Geist war's entfaltet!
> Es fehlte mir nur ein einziges Ding:
> Das war -— die Hand, die gestaltet.

(W mej duszy kryję wiele obrazów; niejedno arcydzieło począłem w duchu. Brakło mi jednakowoż jednej tylko rzeczy: ręki twórczej).

I właśnie wówczas, kiedy wyrażał wątpliwości co do swego uzdolnienia, kiedy zapytywał: azali zdołam dać krew i ciało myślom mym? — w duszy jego poczynał się rozwój na odmiennych motywach oparty, buntował się duch dramaturga, rysowały kontury pierwszego dramatu „Katyliny.“

I odtąd poczęła blednąć i przygasać pierwsza twarz ibsenowska, zacierać się linia jego poezyi — a wypuklać się druga, doskonale nam znana twarz genialnego krytyka społecznego, okrutnego rewolucyonisty ducha ludzkiego — autora „Upiorów.“

Bertold Merwin.

NA MARGINESIE

— Maeterlinck ma zasłużony czy niezasłużony kłopot: musi odeprzeć zarzut, że jego „Monna Vanna“ jest przeróbką utworu Roberta Browninga p. t. „Luria“ (1846). Obie prace są rzeczywiście w treści bardzo podobne i osnute na jednakim motywie historycznym — walce Florencyi z Pizą.

— Ogłoszono ciekawe cyfry prasy religijnej w Stanach Zjednoczonych. Katolicy mają tam 250 pism i 875,400 abonentów, metodyści — 113 i 753,200, baptyści — 142 i 465,300, presbyteryanie — 46 i 415,000, Żydzi — 45 i 238,000, episkopaliści — 54 i 142,000, uczniowie Chrystusa — 22 i 127,000, kongregacyonaliści — 19 i 112,800, luteranie — 44 i 105,550, adwentyści — 15 i 41,180, różni — 128 i 244,200.

— Odkrycie fałszerstwa tyary Zaitafernesa, zakupionej do Luwru, zwróciło uwagę na inne w ostatnich czasach nabyte przedmioty starożytne. Otóż okazało się, że ofiarowane Muzeum new-yorskiemu przez P. Morgana klejnoty złote i medale są również podrobione i pochodzą z tego samego źródła. Rotschild, który zapłacił 150,000 fr. za srebrny dzwon B. Celliniego, dowiedział się, że dwa takież same znajdują się u kolekcyonistów. Sprawdzono, że fałszerz podzielił oryginał na trzy części i do każdej dorobił resztę. A ile oszustw pozostaje niewiadomych! Posiadacze starych zabytków poprostu boją się poddawać ich naukowej rewizyi.

PRASA POLSKA.

Z Rypina piszą do *Kuryera Warszawskiego*.

„Do majątku Słoszewy, położonego w Prusach, nad granicą, stanowiącego własność

b. rotmistrza wojska pruskiego, Weisaermela, przybył na robotę od nas, nieznany dotąd z nazwiska człowiek, pochodzący podobno z powiatu rypińskiego. Człowiekowi temu dano jakąś robotę w podwórzu, której wykonać nie potrafił. Wtedy rządca majątku Słoszewy, Ludwik Bade, przy pomocy swoich trzech parobków, zbił do krwi naszego robotnika. Karę atoli nie na tem ograniczył Bade. Postanowił on wygnać z kraju bojaźni Bożej i dobrych obyczajów robotnika polskiego. Aby urzeczywistnić swoje ekstradycyjne zakusy, Bade przy pomocy trzech parobków przyprowadził w d. 27 kwietnia w południe pobitego i okrwawionego robotnika nad pograniczną rzekę Drwęcę i rozkazał mu przepłynąć wpław rzekę. Gdy pobity robotnik z płaczem prosił o miłosierdzie swoich katów, tłomacząc się, że pływać nie umie, rządca Bade zawołał pracujących z naszej strony na tratwie robotników, ażeby przewieźli na swoją stronę skazanego na ekstradykcyę delinkwenta.

Gdy jednak stojący na posterunku żołnierz straży pogranicznej nie zezwolił na przejazd tratwy na stronę pruską, Bade, chcąc wykonać zamiar wyrzucenia nienawistnego robotnika polskiego, zmusił go groźbą rozebrać się i wejść do wody.

Brzeg w owem miejscu był spadzisty i rzeka bardzo głęboka, tak że człowiek ten natychmiast począł tonąć. Cztery razy wydobywał się na powierzchnię wody, wreszcie zniknął w nurtach Drwęcy.

Z jednej strony przypatrywali się temu wstrętnemu widokowi: Ludwik Bade i trzej jego parobcy, a z naszej strony ludzie, pracujący przy tratwie, i właściciel majątku Bolesławice, p. Mazowiecki. Stali niestety bezradnie, bo, nie mając pod ręką łodzi, nie mogli dać ratunku tonącemu.

Stojący na posterunku żołnierz kordonu Ławy zaalarmował swego dowódcę, porucznika Knoringa, który przybył zaraz na miejsce. Wszelkie jednak środki w celu choćby odszukania ciała topielca, były bezskuteczne. Może trup wypłynie dalej, na brzeg krainy bojaźni Bożej, z niemą skargą na ustach na zaciekłość teutońską... Śledztwo w tej sprawie prowadzi naczelnik straży ziemskiej, podpułkownik Ałfiorow."

DONIESIENIA URZĘDOWE.

Ogłoszono następujący komunikat ministra spraw wewnętrznych do gubernatorów, naczelników miast i oberpolicmajstrów:

„Dnia 6 (19) i 7 (20) kwietnia w Kiszyniowie tłum mieszkańców miejscowych, głównie ludu prostego, wywołał zaburzenie, skierowane przeciw żydowskiej części ludności, przyczem 45 osób zabito lub zmarło skutkiem pobicia, 74 są ciężko ranione, a około 350 odniosło względnie lekkie poranienia. Podczas zaburzeń, którym towarzyszyło rozchwytywanie mienia, stanowiącego własność żydów, około 700 domów żydowskich i 600 sklepów zrabowano.

„Przeprowadzone z tego powodu śledztwo wyjaśniło, iż zaburzenia te wynikły skutkiem powstałych w gub. Besarabskiej pomiędzy chrześcianami a żydami takich stosunków obustronnych, przy których każda wieść niedorzeczna mogła posłużyć za pozór do wybuchu namiętności narodowych. Takim pozorem okazały się fałszywe oskarżenia żydów o dokonanie jakoby przez nich w celach rytualnych w miasteczku Dubosarach, w sąsiedniej gub. Chersońskiej, w Kijowie i w samym Kiszyniowie kilku zabójstw chrześcian.

Rozpowszechnianie podobnych bajek doprowadziło do tego, iż w końcu marca i w początkach kwietnia pomiędzy robotnikami i prostym ludem w Kiszyniowie zaczęły krążyć uporczywe głosy o konieczności bicia żydów, a nawet zjawiły się w obiegu kartki pisane, które, powtarzając przypisywane im oskarżenia, powoływały ludność do wymordowania żydów.

W pierwszym dniu Wielkiejnocy 6 (19) kwietnia na placu Czuflińskim w Kiszyniowie, w oczekiwaniu na otwarcie bud jarmarcznych i innych miejsc zabaw, zgromadził się tłum, w którego nastroju nic niezwykłego nie zauważono. Około godz. 4 po południu jakaś kobieta chrześcianka z dzieckiem na ręku siadła do wózka karuzelu. Niezadowolony z tego właściciel karuzelu, żyd zepchnął kobietę z zajętego przez nią miejsca i uderzył, tak, iż upadła i upuściła dziecko.

Wypadek ten posłużył za pierwszą przyczynę zaburzeń. Rozzłoszczony tłum zaczął rzucać kamieniami w okna sąsiednich mieszkań żydowskich, poczem zaburzenia przeniosły się na ulice sąsiednie, i tłum rozbiegł się po różnych dzielnicach, rozbijając sklepy i domy żydów. Za osobami, które burzyły domy, zjawili się ludzie, którzy zaczęli rabować dobytek.

Szybko szerzące się rozruchy nie mogły być stłumione odrazu i wzrosły tak dalece, że już ku wieczorowi d. 6 (19) kwietnia wściekłość tłumu ujawniła się w gwałtach nietylko nad dobytkiem żydów, lecz i nad nimi samymi. Zabitych było 9 ludzi. Około godz. 10 wieczorem zaburzenia ustały.

Następnego rana na Nowym targu w Kiszyniowie tłum żydów, znacznie przewyższający ilościowo zebraną tam grupę chrześcian, uzbrojony w kije, napadł na tych ostatnich. Bójka wkrótce ustała, lecz na drugim końcu targu żydzi ponownie się skupili i napadli na mniej liczną kupę chrześcian. Z tłumu żydów rozległ się wystrzał. Jeden chrześcianin padł raniony. Zaraz potem w mieście znów wynikły zaburzenia, które zamieniły się w zupełne niszczenie mieszkań i mordowanie żydów.

Wysłane na miasto z wieczora dla ochrony porządku patrole wojskowe okazały się niedostatecznemi, i wezwano nowe oddziały wojska, przyczem władzę wykonawczą co do ochrony porządku gubernator oddał władzy wojskowej.

Pierwotnie wezwanym oddziałom wojskowym nie udało się stłumić rozruchów, gdyż skutkiem niezaradności policyi, nie mającej widocznie odpowiednich wskazówek, ulice zatamowane były nietylko przez osoby, wywołujące rozruchy, lecz i przez tłumy ciekawych. Następnie, gdy wojsko były rozmieszczone według pewnego systemu po cyrkułach miasta, dotkniętych zaburzeniami, ustały one wieczorem dnia 7 (20) kwietnia, następnego dnia już się nie ponowiły.

Wydarzenia w Kiszyniowie wywołały popłoch wśród żydowskiej części ludności. W wielu miejscowościach Cesarstwa potworzyły się wśród chrześcian wieści o zamierzonych pogromach żydowskich. W niektórych miastach żydzi zaczęli organizować z pomiędzy siebie kółka samoobrony.

Wskutek najpoddańszego raportu mojego wiadomości powyżej wymienionych o przebiegu zaburzeń, otrzymanych na miejscu przez p. o. dyrektora departamentu policyi, Najjaśniejszy Pan rozkazać raczył ponowić naczelnikom gubernii i miast rozporządzenie, iż kładzie się na nich obowiązek, pod osobistą ich odpowiedzialnością, przedsiebrania wszelkich środków ku niedopuszczeniu do gwałtów i ku uspokojeniu ludności, aby usunąć powody do zjawienia się w którejkolwiek jej części obawy o życie i mienie.

Zawiadamiając waszą ekscelencyę o takiej woli Monarszej, uważam sobie za obowiązek zakomunikować panu dla kierowania się:

Popierwsze, iż żadne kółka samoobrony cierpiane być nie powinny, i

Podrugie, iż władze cywilne, podczas zaburzeń, spełniając ściśle wymagania p. p. 15 i 16 dodatku do art. 316 t. II zbioru praw, nie mają prawa przy wezwaniu wojska składania władzy wojskowej swych obowiązków co do przywrócenia spokoju, lecz powinny, znajdując się osobiście na miejscu, skierować wspólną działalność wojska i policyi do umiejętnego i energicznego stłumienia rozruchów.

Według brzmienia przytoczonych postanowień, władza cywilna zaprzestaje swych osobistych rozporządzeń tylko po zwróceniu się przez nią do dowódców oddziałów wojskowych i wezwaniu o użycie broni, i tylko przez czas tego działania, i jedynie tam, gdzie trzeba było uciec się do tego ostatecznego środka przywrócenia porządku."

— *Kijewlanin* podaje następujący opis paniki, wywołanej zaburzeniami kiszyniowskiemi, wśród Żydów w Kijowie:

„W końcu zeszłego miesiąca wśród ludności żydowskiej zaczęły się szerzyć niepokojące pogłoski, skutkiem czego wiele rodzin żydowskich pospiesznie opuszczało Kijów. W d. 29 i 30 z. m. przystanie parostatków i dworzec kolejowy przepełnione były Żydami, przeważnie kobietami i dziećmi, tak że w wagonach i na parostatkach brakło miejsc. Po ulicach miasta snuły się dorożki i platformy, wyładowane Żydami i ich sprzętami; wagony kolei miejskiej, szczególniej na liniach Podolskiej i Demijówce, oraz dworzec nie mogły pomieścić uciekających. Na stacyi kolei i na przystaniach wszystkie miejscą zapchane były najrozmaitszymi przedmiotami: kuframi, poduszkami itp. Wiele rodzin żydowskich, należących do najbiedniejszej części ludności i składających się z rzemieślników i drobnych handlarzy, opuściło Demijówkę i inne przedmieścia kijowskie, wyjeżdżając pospiesznie do najbliższych miast i miasteczek gub. Kijowskiej. Zamożniejsi przenieśli się do hotelów. Od d. 3 maja popłoch zaczął się zmniejszać, a wielu z tych, co zamieszkali w hotelach, przeniosło się do stałych swych mieszkań. Krążą wieści, że wyniosło się z Kijowa kilka tysięcy Żydów."

Z powodu tych obaw generał-gubernator kijowski nakazał rozlepić po mieście i ogłosić w pismach miejscowych następujące zawiadomienie:

„Podaję do ogólnej wiadomości, że: 1) wszelkie demonstracye publiczne i tłumne zbieranie się na ulicach, placach, bulwarach i ogrodach m. Kijowa oraz na dworcu kolei żelaznej (bez krępowania naturalnie zwykłego ruchu pasażerskiego oraz handlu na targach) są przezemnie zakazane; 2) na wezwanie policyi zebrany tłum lub osoby pojedyncze, któreby zakłóciły porządek, winny natychmiast bez opierania się posłuchać żądania władzy; 3) uprzedzam, że winni będą pociągani do odpowiedzialności według praw obowiązujących, a na żądanie władzy cywilnej występować będą wojska uzbrojone."

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Dnia 6 czerwca roku bieżącego wychowańcy b. Szkoły Głównej urządzają zjazd koleżeński, na który komitet zaproszenia porozsyłał. Zgłaszania o wzięcie udziału w zjeździe należy nadsyłać najpóźniej do dnia 25 maja pod adresem dyrektora Muzeum przemysłu i rolnictwa, Józefa Leskiego (Warszawa Krak. Przedm. 66). Tu także można otrzymać informacye, dotyczące zjazdu.

— Ministeryum skarbu zaprojektowało wprowadzenie sprzedaży książek w sklepach rządowych, sprzedających wódkę i zwróciło się do kuratora warszawskiego okręgu naukowego z prośbą o wyrażenie swej opinii, o ile pożądane byłoby to w obrębie tutejszego okręgu, nadmieniając, że w sklepach monopolowych sprzedawane być mają książki przeważnie treści religijnej, lub też szerzące zamiłowanie trzeźwości wśród ludności, oraz zalecane przez ministeryum oświaty dla szkół i czytelni ludowych.

— W państwie bojaźni bożej poszanowanie cudzej własności śród urzędników państwowych nie cieszy się dobrą sławą. Niedawno jeden z posłów w parlamencie niemieckim stwierdził, że w r. 1900 ukarano sądownie około 1400 osób o zbrodnię w urzędzie, a w tej liczbie 820 za sprzeniewierzenie grosza publicznego.

Szkoły i wychowanie. Zarząd kolei Warszawsko-Wiedeńskiej wydał dla praktykantów-studentów i ucz-

niów przepisy następujące: Chcący odbywać praktykę w czasie feryj letnich obowiązani są złożyć zawiadomienie piśmienne zwierzchności danego zakładu naukowego, dozwalające na odbycie praktyki na kolei oraz deklaracyę, że nie będą wymagali wynagrodzenia i stosować się będą do przepisów obowiązujących i porządków miejscowych. Naczelnicy właściwych wydziałów służby wyznaczają osoby, pod których nadzorem odbywane będą zajęcia praktyczne. Oprócz praktyki na oddziałach służby drogowej (na linii) lub mechanicznej, studenci i uczniowie praktykanci na żądanie zapoznawać się także mogą z zajęciami technicznemi w wydziałach służby ruchu i telegrafu. W celu przyjścia z pomocą uboższym praktykantom oraz dla zachęty w pracy, zarząd kolei wyznacza corocznie pewien fundusz na wynagrodzenie z ustanowieniem następujących norm płacy: dla studentów wyższych zakładów naukowych i wyższych kursów (III, IV i V) po rublu kop. 50, a niższych kursów (I i II) po rublu; dla uczniów średnich szkół technicznych po kop. 75, niższych po kop. 69 dziennie. W razie jednak przyjęcia większej ilości praktykantów, niż przewidywano, norma płacy będzie zmniejszona tak, ażeby fundusz, wyznaczony wystarczał dla ogółu praktykujących. (*Kur. Warsz.*).

— Oddział naukowy ministeryum skarbu zażądał od dyrektorów szkół handlowych w Warszawie zdania w sprawie zmiany kursów rocznych na semestralne, tj. półroczne, nadmieniając, że projektowany system zapewnia prawidłowszy podział zajęć, ułatwia powtarzanie przedmiotów, daje możność przyjmowania uczniów dwa razy do roku, a nadto możnaby ich podzielić łatwiej na grupy odpowiednio do zdolności umysłowych.

— W celu skuteczniejszego nauczania języków nowożytnych, jako to: francuskiego, niemieckiego i angielskiego w średnich zakładach naukowych ministeryum oświaty projektuje stosować metodę konwersacyj, przeznaczając na nią godziny po za lekcyami dziennemi. Uczęszczanie uczniów na te lekcye nadprogramowe ma być nieobowiązkowe, nauka ma się odbywać bez wszelkich podręczników lub wypracowań piśmiennych, lecz polegać wyłącznie na konwersacyi w formie pogadanek na temat literatury, sztuki geografii. Opłata za godzinę nie powinna przewyższać 20 kop. od ucznia. Nowość ma być wprowadzona w życie z początkiem roku szkolnego.

— Ministeryum oświaty przedsiewzięło staranie o podwyższenie płac nauczycielskich w szkołach rządowych. Podwyżka ta, według projektu komisyi specyalnej, ma wynosić: dla szkół miejskich oraz instytutów i seminaryów nauczylskiego 20%, dla gimnazyów, szkół realnych i niższych przemysłowych — 90 rb. rocznie do pensyi 750 rb., 90 rb. do pensyi 900 rb. za 5—10 lat służby; 180 rb. do takiejże pensyi 900 rb. po 10—15 latach służby i 360 rb. do pensyi 900 rb. po latach 15—25. Za lekcye nadprogramowe dodawana będzie dopłata od 3 do 10 rb. rocznie, zależnie od ceny lekcyj. W uniwersytetach i innych wyższych zakładach naukowych podwyżki rzeczone wyniosą 20%. Wyjątek stanowią emeryci oraz pobierający 1,500 rb. rocznie; dalej profesorowie, mający przeszło 1,000 rb. rocznego honoraryum; dyrektorowie i inspektorowie średnich zakładów szkolnych; personel administracyjny wyższych zakładów naukowych, wreszcie nauczyciele średnich szkół przemysłowych, niższych rzemieślniczych oraz niedzielnych szkół rzemieślniczych.

— Kurator ryskiego okręgu naukowego pozwolił na wykłady języka estońskiego w gimnazyum rewelskiem. (*Praw. Wiest.*)

Srawy ekonomiczne. Zarządy dóbr skarbowych w Królestwie Polskiem otrzymały od ministeryum rolnictwa i dóbr państwa polecenie dopomagania obywatelom ziemskim i ludności włościańskiej w sadzeniu lasów prywatnych. W tym celu zorganizowana ma być sprzedaż nasion i sadzonek, zwłaszcza gminom i gospodarstwom włościańskim. Jednocześnie polecono leśnictwom rządowym rozszerzyć swoje szkółki leśne i utworzyć nowe, powiększyć liczbę rządowych suszarni nasion, oraz zwrócić baczną uwagę na zalesienie wydm piaszczystych.

— W ministeryum spraw wewnętrznych utworzono specyalną komisyę, z udziałem ziemian, w sprawie zniesienia służebności w kraju północno-zachodnim.

— Zatwierdzoną została ustawa Towarzystwa wzajemnej pomocy p. n. „Farmacya," w Warszawie.

— Gazety petersburskie donoszą, że w ministeryum rolnictwa rozpatrywany jest projekt organizacyi komitetów przemysłu drobnego, które pośredniczyłyby między nabywcami i drobnymi przemysłowcami. Komitety takie powstać mają w większych miastach Cesarstwa, w Warszawie, oraz w posiadłościach azyatyckich, Syberyi Wschodniej i Zachodniej.

Koleje i komunikacye. Przystanki kolei Kaliskiej: Ożarów, Płochocin, Teresin, Radliczyce i Winiary zostały otworzone do przyjmowania ładunków towarowych.

— Zarząd kolei postanowił, aby w pociągach, odbywających długą podróż, obowiązkowo był lekarz. Rozporządzenie to stosuje się głównie do kolei Syberyjskiej.

— W roku zeszłym koleje rosyjskie miały dochodu *brutto* 592,533,471 rb., czyli o 18,586,899 rb. więcej, niż w r. 1901. Przewieziono 109,019,682 podróżnych oraz 7,663,706,000 pudów towarów. Nowych kolei przybyło 54,030 wiorst.

— Według obliczenia ministeryum komunikacyj, długość kolei Syberyjskiej wynosi 7,783 wiorst, rozpadających się: 3,140 wiorst na linię syberyjską, 1,418—na zabajkalską, 812—na ussuryjską i 2,413—na wschodniochińską. Budowa kolei kosztowała dotąd 780 mil. rubli. Odległość od najbliższego portu atlantyckiego, ewentualnie baltyckiego, Petersburga, do Władywostoku, wynosi dla pociągów pospiesznych 7,217, a do portu Artura—7,535 wiorst.

— Zjazd naczelników ruchu postanowił wprowadzić na wszystkich kolejach posadę naczelnika pociągu.

Poczta. *Praw. Wiest.* ogłasza: „Dla większej wygody publiczności wprowadza się specyalny rodzaj depesz prywatnych pod nazwą „dziennych", których przyjmowanie ma się odbywać na zasadach następujących: 1) wysyłający depeszę prywatną wewnętrzną, nie życząc sobie, aby doręczono ją adresatowi w nocy, winien przed adresem jej napisać wyraz „dzienna"; 2) wyraz „dzienna" nie zalicza się do wyrazów płatnych, lecz podany jest w depeszy bezpłatnie, jako informacya dla wydziału adresowego; 3) depesze z adnotacyami „dzienna" przesyłają się wraz z innemi depeszami według przepisów ogólnych, tj. kolejno w miarę ich przyjęcia. Doręczanie atoli do mieszkań adresatów następuje dopiero w dzień pomiędzy godz. 7-ą zrana a 10-tą wieczorem."

Katastrofy. Dnia 8 maja rozbił się pociąg kuryerski, dążący z Petersburga do Wierzbołowa; maszynista, jego pomocnik i kilka podróżnych otrzymali ciężkie rany. Przyczyną wypadku były podkłady położone na szynach przez niewiadomych zbrodniarzy.

— Wielki pożar zniszczył miasteczko Lubień pod Lwowem.

— Z Montrealu donoszą, że pod Dezter wykoleił się pociąg i spadł w przepaść, przyczem jednocześnie wybuchł pożar; 12 podróżnych spaliło się, 8 ciężko poparzonych.

— Na stacyi Detroit, w stanie Michigan, zdarzył się wypadek, który dotknął ludność polską zamieszkałą w Toledo. 1,500 uczestników wycieczki oczekiwało na torze kolejowym na pociąg powrotny, który wśród zapadającej nocy nadbiegł niespodziewanie i wjechał w zbity tłum ludzi; 7 osób zostało zabitych na miejscu, 30 odniosło ciężkie obrażenia.

— W Clevelandzie (stan Ohio) skutkiem wybuchu masy eksplodującej runęła cała fabryka wyrabiająca torpedy, oraz kilkadziesiąt domów sąsiednich; 12 robotnic poniosło śmierć, 50 jest ciężko ranionych.

Zmarli. Wincenty Gajewski, b. nauczyciel gimnazyów w Kaliszu, Lublinie i Piotrkowie; w 74 roku życia, w Warszawie.

Redaktor i Wydawca **A. Dembowski.**

Дозволено Цензурою, Варшава 1 Мая 1903 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.